Nr. 2 Poznań, dnia 13 Stycznia 1907 r. Rok XI.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . 1,62 pod opaską . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 33. Telefon Nr. 1865. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Stara gwardya.

Kochani Czytelnicy!

Uwierzycie zapewne, kochani Czytelnicy, że zmiany tego kwartału wyczekiwaliśmy z niemałą obawą.

Podwyższenie przedpłaty dla pisma, chociażby z tak poważnych powodów, jakie nas do tego skłoniły, to nie małe ryzyko. Przecież w każdem gronie znajdują się malkontenci. Temu to, tamtemu owo się nie podoba. Nuże od razu kilka set, a może i więcej odpadnie, porzuci to pismo, z którem przez tyle lat duchowo i umysłowo byli związani?

Mieliśmy istotnie nie małą obawę. Ale, chwała Bogu, przekonaliśmy się teraz dowodnie, że stara gwardya „Pracy" dzielnie się trzyma naszego sztandaru, sztandaru *narodowej oświaty*.

To też dziś już pospieszamy, wyrazić Wam, Kochani Czytelnicy, wdzięczność naszą za Wasze do „Pracy" przywiązanie, za Waszą wierność i poparcie.

A potrzeba nam tego teraz więcej aniżeli kiedykolwiek. Wszak wiecie, że w ubiegłym tygodniu nowy nas spotkał cios — dwukrotne zasądzenie redaktora naszego, na 400 mk. razem. Widzicie więc, że nie tylko wołać, nie tylko nakłaniać umiemy społeczeństwo do ofiar na rzecz naszej narodowej sprawy, ale że i sami nie uchylamy się od ofiar, przeciwnie w pośród innych w przednim stajemy szeregu.

I stać będziemy, pomimo, że czekają nas nowe, nie daj Boże, cięższe ciosy. I redaktor p. Idzi Świtała, i p. Bolesław Rakowski wkrótce znowu zasiądą na ławie oskarżonych. Kto wie, jakie teraz na nich spadną kary?!

W takiej, ciężkiej zaiste chwili podwójnie głęboko odczuwamy okazaną nam przez Czytelników naszych przychylność i przywiązanie. Jest w tem dowód uznania dla pracy naszej i za trudy i mozoły nasze.

Bóg więc zapłać Wam za to, Czytelnicy nasi!

Ale — musimy ponownie zapukać do Was. Czas wyborczy — wiece — agitacya. Mamy nadzieję i przekonanie, że Czytelnicy „Pracy" w pracach agitacyjnych nie poślednią odgrywają rolę, już to jako mówcy wiecowi, już to jako mężowie zaufania. Tak podczas mów agitacyjnych, jak szczególnie podczas odwiedzania rodaków i przy wręczaniu im kartek wyborczych znajdzie się zapewne okazya do polecenia *prasy polskiej w ogóle* jak szczególnie „Pracy".

Prosimy Was o to usilnie. Żywe słowo, Kochani Czytelnicy, życzliwe ustne polecenie więcej znaczy aniżeli sto płomiennych artykułów. Czyż, Kochani Czytelnicy, nie znajdziecie dla nas w sercu i duszy Waszej tego żywego, życzliwego słowa, tego poparcia od ust do ust?

Wierzymy w to niezłomnie — i dla tego prosimy Was: na wiecach, podczas agitacyi wyborczej, chodząc od domu do domu, zabierzcie numer „Pracy" ze sobą, przeczytajcie artykuły, pokażcie obrazki — a z pewnością znajdzie się jeszcze ten i ów, który pomnoży szeregi Wasze.

My zaś ze swej strony nie ustaniemy ani na chwilę w staraniach około rozbudzenia narodowego ducha, narodowej oświaty, politycznego uświadamiania — i ducha czynu.

Nie dość bowiem wołać: jestem Polakiem! Pokaż, bracie, gdy chwila po temu, że umiesz, że masz odwagę, pokazać się Polakiem w życiu, w czynie!

Nadeszła chwila próby. Wybory. Zobaczymy, czy tym razem w wyborach pomimo krótkiego czasu, pomimo niezmiernie utrudnionych warunków agitacyi *więcej głosów* polskich padnie na naszych posłów, aniżeli w r. 1903.

To będzie dowód, że duch czynu, duch objawiania swojej narodowości w życiu, nie tylko w domu, ale i poza domem — wśród nas rośnie.

Otóż najprzedniejszem zadaniem „Pracy" jest: budzić tego ducha czynu. A Wy, Kochani Czytelnicy, w tem nam dopomóżcie, jednając nam coraz więcej abonentów.

Redakcya.

Czegośmy warci?

„Kto zadowalnia się małem, ten nie wart — większego".
(Konfucyusz).

Od czasu do czasu stają ludzie i liczą ile zdobyli, ile stracili, ile zebrali, ile rozdali, ile poszli naprzód, ile się cofnęli wstecz.

Od czasu do czasu stają ludzie i liczą ile im się należy, ile oni są winni, ile zarobili, ile zaniedbali, co dla nich zanikło, czego jeszcze nie dosięgli.

Takie obliczania i zastanawiania się, zowią się, rozwagą i poznawaniem obowiązków.

Lecz że ludzie mają obowiązki rozmaite osobiste, rodzinne, stanowe, społeczne i narodowe, częstokroć w tych obliczaniach swoich gubią się i mylą. Nad jednymi obowiązkami za wiele się zatrzymują, nad innymi za prędko przebiegają, innych wcale nie znają i znać nie chcą.

Między obowiązkami osobistymi, a narodowymi czynimy najczęściej takie różnice, iż osobiste obowiązki bardzo troskliwie i starannie bierzemy w opiekę, a obowiązki narodowe odrzucamy i nawet ich znać nie chcemy. Jeżeli naprzykład do obowiązków osobistych zaliczamy staranie się o dobrobyt, to już tak częstokroć o ten chleb, o ten grosz, o te wygody dobijamy się, iż zdaje się chwili żadnej na myśl i pamięć o czem innem nie znajdziemy. A wtedy nie inaczej dzieje się z obowiązkami narodowymi tylko tak, iż ani ich

nie znamy, ani nie rozumiemy, ani nie wykonujemy.

Nasi wrogowie korzystają bardzo chętnie z zaniedbań naszych obowiązków.

Jeżeli wiedzą, że my nie troszczymy się o prawa nam przynależne, biorą te prawa w swoje ręce i skręcają z nich bicz ciężki i ostry na nasze głowy.

Jeżeli wiedzą, iż my zadowalniamy się byle czem, byle jakąś łaską rzuconą nam wspaniałomyślnie, wtedy jako dzieci zabawią nas drobnostką, a sami przygarną wielką rzecz dla siebie.

Dla tego należy nam rozważyć powyżej przytoczone słowa Konfucyusza, iż, kto zadowalnia się małem, ten nie wart większego, i spytać, ile czegośmy warci, jeżeli zadowalniamy się albo czem bądź, małem, albo niczem?

Z nas — jako z jednostek składa się naród. My, jako cząstki narodu mamy i prawa i obowiązki.

A prawa i obowiązki te są wielkie i jako wielkie zapominane i deptane nigdy być nie mogą.

Tymczasem — znachodzą się wśród nas ludzie, którzy pozwolą, ażeby im deptano prawa, bo o nich zapominają, albo, co jeszcze gorsze, ich nie znają.

Ten — dostał posadę jakąś u fabrykanta, Niemca... otrzymał dość dobre wynagrodzenie. Ażeby nie narazić się u chlebodawcy, ażeby nie stracić pracy dość wygodnej, wyrzeka się praw obywatela, praw Polaka, nie chce należeć do polskich stowarzyszeń, nie chce prenumerować polskich gazet, nie chce głosować na posła-Polaka... więc ile wart taki człowiek wobec narodu jeśli dla narodu niczego nie żąda?...

Zdarzają się ludzie łakomi i nienasyceni, którzy — na małem nie lubią poprzestać i pragną coraz więcej, ale ci — chciwość swą kierują ku temu, co ich ubogaca, co ich wynosi. Lecz jakże mało tych, którzy pragną wiele dla dobra i szczęścia narodu!...

My Polacy — którzy w mozolnej walce szamocemy się tyle lat, myśmy powinni w pewnych okresach czasu obliczać ile mamy, a ile mieć powinniśmy... Bo biada, wielka wina by na nas spadła, gdyby następne pokolenie rzec musiało, iżeśmy nie wiele byli warci, gdyśmy się nie umieli o wiele upominać i wiele nie zdobywaliśmy.

Czegośmy warci — jako naród żywy i prawo do bytu mający? Czyż stajemy ramię w ramię, mąż przy mężu, brat przy bracie, ażeby zdobywać głosy polskie, ażeby mieć więcej naszych posłów, ażeby wywalczyć prawa należne dla mowy ojczystej i nauki szkolnej!...

Czegośmy warci, gdy tchórzliwi i pojaźliwi jesteśmy, gdy jak pieski na dwu łapkach służymy przed tymi, którzy nam kości rzucają, gdy jeszcze powiadamy, iż łaski wiele doznajemy od wrogów, jeśli oni pozwolą się nam nazywać Polakami i pozwolą nam, naszą pracę, nasz trud, naszej ziemi skarby oddawać im...

Czegośmy warci, gdy nie umiemy pouczyć naszych braci, iżby umieli upominać się o swe prawa narodowe, gdy nie umiemy tchnąć gorętszego ducha w serca naszych córek, sióstr i żon, by umiały raz odróżnić to co polskie, a co niemieckie...

Jeśli nie umiemy zdobywać więcej jak mamy, warci jesteśmy bardzo mało... a rachunek nasz przy zmianie roku nie wynosi ducha zadowolnieniem.

Bądźmy godni większych zdobyczy na polu narodowych praw!!... Mierzmy siły na zamiary i idźmy do zwycięstwa! *Iskra.*

Rząd pruski — w kłopocie.

Że hakatyzm jest „forpocztą" rządu pruskiego, to zapewne powszechnie wiadomo.

Kiedykolwiek nowe przeciwko Polakom knuto i kuto „prawa" (!), kiedy tworzono nowe projekty antypolskie, zawsze na pierwszy plan wychodzili ,wysuwani byli hakatyści.

Tak się dzieje i dziś.

Nie ulega wątpliwości, że strajk szkolny rządowi pruskiemu niejedną sprawił przykrą godzinę, niejedną chwilę, w której z konieczności musiał zaglądać do swego sumienia: ażali polityka jego przeciwko Polakom ma jeszcze jaki sens? — ażali ona może prowadzić go do celu?

Odpowiedź musiała brzmieć: nie! — po stokroć nie!

Chciał rząd komisyą kolonizacyjną zawieść szlachtę do Monako. I osiągnął to, że wszystkie parszywe owce oddzieliły się od polskości — i tak, jakby dla społeczeństwa polskiego nie istnieją.

Naród polski na sprzedawczyków i na agentów komisyi kolonizacyjnej rzucił swoje anatema, przekleństwo, którego złoty, pruski chrzest ani historya z nich nie zdejmie.

Chciano *nowelą osadniczą* z roku 1904 odstraszyć od gleby rodzinnej *lud polski.* A to stało się powodem, że lud ten tem uparciej tej gleby się trzyma.

I jaki skutek?! Oto na G. Śląsku, inwalida Chrószcz trupem kładzie żandarma, który ze stodoły usuwa mu kominek, bo mu domu stawiać nie było wolno.

A na koniec, ostatni skutek ucisku antypolskiego — to strajk szkolny, z którym rząd pruski po prostu nie wie, co począć.

I dla tego na plan walki wysuwa hakatystów.

Tak zw. „towarzystwo dla kresów wschodnich" jeszcze przed Nowym rokiem, jak dowodzi tego korespondencya nasza z Hamburga, w poprzednim numerze, rozrzucało po różnych okolicach Niemiec odezwę. Odezwie tej nadano znamienny napis: „die Wahrheit über den polnischen Schulstreik" (prawda o strajku polskim w szkole).

I cóż to za prawda?

Odezwa powtarza znaną bajkę, że księża spolszczyli przez polską naukę religii poznańskich bambrów. Spolszczenie to bambrów ma być niezbitym dowodem na to, że przez polską naukę religii mogła się była wynarodowić wielka część późniejszego niemieckiego pokolenia.

I oto powód do zaprowadzenia niemieckiej nauki w szkole w ogóle, a przedewszystkiem w religii.

Powtarza naturalnie odezwa ta *bezczelne kłamstwo,* że strajk szkolny jest wyłącznie dziełem księży. W jakim to celu czyni, nie trudno zrozumieć.

Naturalnie nie zapomniano i o okólniku ś. p. N. ks. arcybiskupa Stablewskiego, któremu przypisują niemałe znaczenie. Powiadają mianowicie, że po ukazaniu się tego okólnika, sprawa strajku przybrała *charakter bardzo groźny.*

Chcianoby oczywiście — i to jest najciekawsze bodaj — brak wiadomości z nauki religii udzielanej po niemiecku przypisać (nie śmiejcie się): *nieznajomości polskiego języka!*

Samo przez się się rozumie, że nauki religii w języku niemieckim udziela się ze względów — *pedagogicznych!*

Odezwa kończy się apelem do rządu, by nie ustępował ani na krok, bo inaczej powaga jego zostanie gwałtownie wstrząśniętą, a dobro państwa narażone na poważne niebezpieczeństwo.

Oczywiście dla hakatystów strajk szkolny nie toczy się ze względów religijnych — lecz wyłącznie ze względów politycznych.

Pewnego rodzaju uzupełnieniem tej bibuły był wiec hakatystyczny, który się odbył ubiegłej niedzieli w Poznaniu, ściśle mówiąc na Wildzie. Na porządku dziennym tego wiecą był strajk szkolny dzieci polskich przeciwko niemieckiej nauce religii. Z wieca tego — o ile nam wiadomo — Polaków usunięto, tak że o przebiegu jego

dowiedzieć się można było tylko z pism niemieckich.

Piorunujące tam były mowy. Powaga rządu na pierwszym planie, gromy potępienia sypały się na Polaków. Strajk szkolny dla hakatystów, to dowód, że wśród Polaków nie umarł jeszcze *duch buntu i nieprawdy!*

Snać hakatyści chcieliby z dzieci polskich i z nas Polaków w ogóle ściągnąć aureolę, mimo, że walka, jaką toczymy — nie mówimy o strajku samym, ale w ogóle — jest świętą, że o wielkie, o moralne i jak łza czyste chodzi nam skarby.

Stąd to zarzut, że walczymy nieprawdą.

Nie nieprawdą jest, że słabnie duch wiary i religii wśród nas, bo najwyższa powaga, sam cesarz stwierdził to dla całych Prus i Niemiec. A przecież tam dla niemieckich dzieci w ich ojczystym języku udziela się religii.

Nie nieprawdą jest, że główną, a my twierdzimy *jedyną* przyczyną tego zaniku wiary i religii, jeżeli chodzi o społeczeństwo polskie, jest *niechęć* do nimieckiej nauki religii. Potwierdził to ostatnim aktem swej woli ś. p. N. ks. arcybiskup.

Ale pocóż tu argumenty. Hakatystów — powiedział ktoś — i anieli z nieba by nie przekonali, że oni nie mają racyi.

Zresztą nie o to chodzi. Ale raczej o to, że rząd prusi na odwrócenie uwagi naszej od strejku szkolnego nowego, i bodaj ostatniego chwyta się środka — hakatyzmu.

Chce się rząd nimi zasłonić, chce zasłonić nimi środki, jakich używa do zwalczania strajku, albo jakich używać będzie. Chce znowu, jak się to zawsze działo, winę, że stosunki między Niemcami a Polakami na wschodzie coraz bardziej się zaostrzają — zrzucić na Polaków.

Jakie to środki będą, nie wiemy. Wkrótce zapewne rząd uchyli rąbka tajemnicy.

Na razie nam należy stanowczo od siebie odrzucić zarzut,, jako my byśmy byli winni zaostrzeniu się stosunków, jako my Polacy bylibyśmy lekkomyślnie wywołali strajk szkolny, by osłabić powagę państwową.

Nie Polacy, nie my ją narażamy, nie dzieci nasze ją grzebią, lecz podkopuje ją rząd sam swojem postępowaniem.

Zasłona, jakiej rząd szuka u hakatyzmu, tej prawdy przed nami ani przed resztą cywilizowanego świata nie zakryje.

Nie poradza na to nic ani wiece hakastyczne, ani rozsiewane przez nie kłamstwa w odezwach.

Za nas mówią fakta, smutne fakta, a tymi są: pokaleczone plecy dzieci, trup żandarma jako ofiary noweli osadniczej, prawa wyjątkowe — i ucisk, który tylko rząd a nie kto inny usunąć może — i powinien.

Okres przedwyborczy w Królestwie.

(List z Warszawy.)

Znajdujemy się obecnie pod berłem rosyjskiem w pełni ruchu przedwyborczego. Dziwny traf sprawił, że niemal równocześnie odbywają się prace wyborcze we wszystkich trzech zaborach. Dlatego warto zestawić pewne wnioski i porównania, które się nasuwają siłą rzeczy, gdy się spogląda na różnorodność politycznej pracy w tych trzech zaborach.

Porównanie to wypada niestety nie na korzyść Królestwa.

W Królestwie niema organizacyi wyborczej, więc zamiast niej rolę łącznika, prowadzącego za sobą tłumy wyborców, musi odgrywać jakieś wybitne hasło, jakiś parol, któryby elektryzował wszystkich.

Aby zdać sobie sprawę z obecnej sytuacyi, trzeba cofnąć się myślą wstecz, do poprzednich wyborów w początkach ub. roku.

Zobaczmy jakie wtedy hasła odgrywały rolę.

W poprzednich wyborach potrzeba było hasła. Hasła takiego, któreby działało na tłumy, poruszyło je, zahypnotyzowało i prowadziło na pasku.

Myli się bardzo, kto myśli, że hasłem tem była *Autonomia.* Próbowano z tego zrobić hasło wyborcze, ale się nie dało. Mało kto wie, co jest autonomia. Weźmy na egzamin przeciętnego warszawskiego intelligenta, a nie wytłomaczy dokładnie, jakie funkcye państwowe mieszczą się w tem słowie. A cóż dopiero szary tłum!

Trzeba było znaleść coś innego, coś, coby odrazu „wzięło" wszystkich.

I hasło takie się znalazło.

Było niem: *huzia na żydów!*

Było jasne, zrozumiałe tak dalece, że im kto ciemniejszy, tem je dobitniej rozumiał, — było jędrne, silne i nieskomplikowane.

Porwało masy. Wybory odbywały się pod znakiem: *huzia na żydów.* Rozkołysane morze namiętności omal nie wystąpiło ze swych brzegów.

Hasło porwało za sobą masy.

Ale było to fałszywe hasło.

Tu muszę wtrącić słów parę, aby mnie źle nie zrozumiano. Nie chodzi mi tu wcale o żydów i ich obrońcą ani stronnikiem nie jestem. Co o nich myśleć, wiemy z doświadczeń w Poznańskiem. Ale chodzi tu o rzecz nieskończenie większą, chodzi o kulturę naszego społeczeństwa.

Niechaj czytelnik nasz w Poznaniu pamięta, że w okresie poprzednich wyborów zdarzała się rzeź żydów w Białymstoku, w Siedlcach i innych miastach, a zrozumie każdy cośmy czuli za obawy, gdy się widziało, że ruch wyborczy, który powinien był być wspaniałą manifestacyą budzącego się do życia społeczeństwa, schodzi na mętne tory nienawiści i haseł podniecających namiętności tłumu!

Obecnie, przy nowych wyborach ta sytuacya się nie powtórzy. Nie wchodząc w szczegóły, zaznaczę tylko, że wskutek brania udziału socyalistów w wyborach niektóre partye sądzą, że trzeba szukać pomocy — — u żydów, więc z żydami delikatnie się będą obchodzić.

Ale zatem trzeba będzie nowego jakiegoś hasła, coby na namiętnościach tłumów zagrało.

I hasło takie znów się zjawia. Równie dobitne i silne, jak tamto, — równie pociągające dla tłumów.

Hasło to: *huzia na socyalistów.*

Przedsmak tego, co hasło takie obiecuje, już mieliśmy w postaci walk partyjnych. We wzajemnem mordowaniu się bojówek rozmaitej barwy, widzieliśmy, do jakiego podniecenia doprowadzić może ludzi takie hasło.

Szatan nie mógłby lepszego wymyślić, gdyby chciał upokorzyć wobec kultury naród, co kulturalne swe tradycye zwykł szanować. To samo niebezpieczeństwo, które nam zagrażało poprzednio w postaci rzezi żydów, zagrażać będzie obecnie w postaci wzajemnego mordowania się obozów i partyi.

Czy to jest mądre? czy to jest roztropne? Powie każdy z pewnością, że nie. I znów zaznaczę, że nie o socyalistów mi chodzi, ale o obronę kultury naszego kraju, splamionej już i tak dostatecznie ciągłemi morderstwami partyjnemi.

A pochodzi to wszystko stąd, że nasza polityka wewnętrzna toczy się jak lawina bez sterującej dłoni. Instynkty tłumów nie rządzą, nie ujęte w żadną organizacyę.

W pierwszym czasie po ogłoszeniu konstytucyi żydzi nietylko niedelikatnie obchodzili się z polskością, ale żądali zupełnie czegoś innego, niż równouprawnienia obywatelskiego, — żądali

dla żargonu uprawnienia w szkole i urzędzie.

Z tego źródła odruchowo wypłynął prąd, na którym później oparto całą strategię wyborów.

A jeśli teraz by miało się pojawić hasło: huzia na socyalistów, to czyż i to nie wypłynęłoby odruchowo wobec terroru partyjnego, wobec strasznych skutków socyalistycznej gospodarki w naszym kraju?

I to jest właśnie złe. To jest opłakane, a może być w skutkach swoich straszne. Nie można bezkarnie uprawiać polityki opartej na nienawiści i instynktach.

A tymczasem powinno nam chodzić o to, aby hasła wyborcze przedstawiały pewien dodatni czynnik, pewną siłę uświadomienia politycznego, pewną dozę etycznej kultury.

Powinniśmy przeprowadzać wybory pod programami twórczej pracy, a przedewszystkiem pracy świadomej swych celów.

Nie instynkty tłumów niech rządzą naszą polityką, lecz inteligentna wola, a wtedy po każdych wyborach zwiększać się będą zasoby uświadomienia politycznego mas i ich współdziałanie w ogólnej pracy odrodzenia społecznego i narodowego.

Aby jednak dojść do tego, potrzeba przedewszystkiem stworzyć podwalinę-fundament dla wyborów — w postaci organizacyi wyborczej. Tego u nas w Królestwie niema. Niema zebrań przedwyborczych, choć rząd na nie pozwala, — niema — komitetów wyborczych, obranych przez ogół obywateli!

Kazimierz Rakowski.

Austrya i Polacy w r. 1906.

Wiedeń, dnia 4 stycznia 1907 r.

Skończył się rok 1906 — legł w grobie przeszłości. Co nam przyniósł — czem był dla nas i dla państwa, w którem cieszymy się względną swobodą?

Krakowskie i lwowskie korespondencye informowały czytelników „Pracy" obszernie o walkach, jakie na arenie politycznej staczało Koło polskie o swoje i kraju swego stanowisko w radzie państwa czyli wiedeńskim parlamencie.

Przypomnę tutaj parę faktów, które przyczynią się do naszkicowania ogólnego tła i wyników owych walk.

Rok 1906 był niefortunny dla ministrów monarchii Habsburskiej. Postradał tekę minister spraw zagranicznych Agenor hrabia *Gołuchowski*. Podzielił jego losy minister wojny *Pitreich*. Tekę ministra austryackiej obrony krajowej zamienił na tekę ministra wojny zbrojmistrz polny Schönaich.

Koło Polskie obaliło prezesa ministrów *Gautscha* i ministra spraw wewnętrznych hr. *Bylandta-Rheidta* (dymisya 3 maja 1906 r.). W miesiąc później poszedł ich śladami prezes gabinetu książę *Hohenlohe* wraz z wszystkimi ministrami-urzędnikami, z których kilku urzędowało jeszcze z epoki gabinetu dr. Koerbera.

Dzień 8 kwietnia 1906 r. jest datą dymisyi w Budapeszcie gabinetu barona *Fejervarego*. W tym gabinecie zasiadał dopiero od trzech dni minister sprawiedliwości *Gegusz*.

Z wyższych urzędników ministeryalnych narodowości polskiej zyskaliśmy w ciągu 1906 r. zaledwie trzech: radca dworu Wacław *Zaleski* został szefem sekcyi ministerstwa rolnictwa; tytularny radca ministeryalny dr. *Galecki* został rzeczywistym radcą ministeryalnym w ministerstwie skarbu; radcę dworu *Kosińskiego* powołano do ministerstwa kolejowego na stanowisko samodzielne. Liczba urzędników ministeryalnych narodowości polskiej nie wzrosła.

Koło Polskie po powołaniu *hr. Dzieduszyckiego* na stanowisko ministra galicyjskiego zajmowane poprzednio od 18-go stycznia 1900 r. przez dr. Leonarda *Piętaka* otrzymało nowego prezesa w osobie pana Dawida *Abrahamowicza*; pierwszym wiceprezesem został dr. Michał *Bobrzyński*. Ubyli Kołu polskiemu *dr. Piotr Górski*

Z teatru.

„Emigracya chłopska", „za chlebem", „Szczęście w Ameryce" — oto tytuły książek i książeczek, powiastek i powieści ludowych, przestrzegających lud nasz przed lekkomyślnem opuszczaniem rodzinnej ziemi.

Skąd się to wszystko wzięło?

W dzielnicy naszej, w zaborze pruskim od lat dziesiątek zamożność wśród ludu rośnie. Co raz też mniej wychodzi z kraju, co raz mniej szczególnie puszcza się na poszukiwanie raju — za morzem.

Inaczej w Galicyi i Królestwie. Bieda tam wśród ludu naszego prawie niezmienna. Skutek to nie tylko niedostatecznego postępu w gospodarce u ludu — ale bodaj skutek wyzysku obcych rządów i kiepskiej gospodarki tychże rządów.

To też z dzielnic tych emigracya — wychodźtwo z roku na rok raczej się wzmaga aniżeli maleje. Na dowód twierdzenia tego niech mi wolno będzie przytoczyć choćby szczegóły z artykułu w 51 numerze „Pracy" z roku ubiegłego, w którym p. I. B. Kokot omawia emigracyę ludu naszego przez Hamburg.

A jaki los tego ludu?

Dziś może już ten i ów nie puszcza się na chybił trafił. Ma może w Ameryce krewniaka który mu podróż za morze ułatwił, który może go przestrzegł przed nieuczciwym ajentem, żydem lub Niemcem. Ale był czas w początkach wychodźtwa, gdzie jedynym człowiekiem, któremu lud wierzył, i do którego rad i wskazówek się stósował — był żyd-szynkarz we wsi, albo przyjezdny agent-Niemiec, któremu towarzystwa amerykańskie suto płaciły od — głowy emigranta.

Smutna dola czekała tych pierwszych pionierów naszego wychodźtwa. Setki, ba tysiące ginęły — albo w drodze, bo im środki nie wystarczyły, by dotrzeć do tej „ziemi obiecanej,", rzekomo opływającej w złoto — albo ginęły w Ameryce, gdzie na miejscu dopiero się przekonały, że żyd albo Niemiec siłę, zdrowie, pracę i ich samych zaprzedał w niewolę amerykańskiego przedsiębiorcy.

Oto temat „emigracyi chłopskiej", sztuki ludowej napisanej przez znanego pisarza ludowego *Wł. Ludwika Anczyca*, którą ujrzeliśmy ubiegłej soboty na deskach naszego teatru.

Ciemnota ludu polskiego w Galicyi, wyzysk żydowski, niesumienność i nieuczciwość agenta niemieckiego, pragnienie poprawy doli — oto tło tej sztuki.

Oczywiście autor daje naukę, że lepsza znana dola w ziemi rodzinnej, aniżeli nieznane szczęście wśród obcych.

Godzimy się na tę zasadę. Ale nie możemy godzić się na to, by chcieć tłumić wśród ludu pragnienie polepszenia swojej doli. To pragnienie jest wręcz naturalnym popędem, i dla tego żadną choć najlepszą, najpiękniejszą t. zw. „mądrą radą" usunąć się nie da.

Co atoli bez zastrzeżeń przyjmujemy, to potępienie wyzysku ze strony niesumiennego żyda i Niemca — ciemnoty naszego ludu.

Dobrze jednakże potępić to czy ze sceny czy w książce — ale ochronnym środkiem przeciwko żydowskiej i niemieckiej niesumienności stanie się dopiero prawdziwa oświata.

Że na tem polu tak my pod Prusakiem jak i bracia nasi w Galicyi i Kró-

dr. *Emil Byk* i *Jan Rotter*. Pierwszy i trzeci padli ofiarą krótkiej, gwałtownej choroby. Drugi zmarł nagle.

W miejsce zmarłych objęli mandaty hrabia *Breza*, dr. Józef *Gold* i Tomasz *Sołtysik*. Do komisyi parlamentarnej wszedł dr. Stanisław *Starzyński*.

Trudno w zestawieniu kronikarskiem określić rolę i działalność Koła polskiego. Wystarczy podkreślenie, że zdobyło ono sobie świetne, decydujące stanowisko w parlamencie. Nauczono się bać i poważać równocześnie reprezentacyę polską i w biurokracyi i na arenie parlamentarnej. Dzięki temu, Koło sparaliżowało zamach barona Gautscha i hr. Bylandta-Rheidta na stanowisko polityczne Polaków w zaborze austryackim. Reformę wyborczą Izby uchwaliły w postaci, która zapewnia narodowi polskiemu w Austryi stanowisko, należne jego kulturze, jego rozumowi politycznemu i jego przeszłości dziejowej.

Po czterech latach walki Koło polskie doprowadziło do *upaństwowienia* kolei Północnej. Owo upaństwowienie chlubnie świadczy o wytrwałości i konsekwencyi politycznej Koła polskiego. Niemałą zasługę ma pod tym względem *prasa polska* zaboru austryackiego. Kołu polskiemu sekundowała ona zaciekle, niezmordowanie w domaganiu się, aby państwo kupiło kolej Północną. Moralny zysk z tej akcyi jest więc obfitszy, niż materyalny. Na razie bowiem dawny system, — system germanizacyjny ma trwać niemal w całej pełni na wszystkich liniach kolei Północnej, nawet na tych, które przebiegają Galicyę. Ale i ta organizacya musi się zmienić na lepsze, warunek tylko jeden: niech nam i nadal nie zabraknie wytrwałości w walczeniu o nasze prawa narodowe.

Koło polskie pracowało bardzo pilnie w komisyach Izby poselskiej. Dzięki temu załatwiło wiele spraw z korzyścią dla kraju. W komisyi reformy wyborczej w sprawach, tyczących Galicyi, głównymi referentami byli dr. Stanisław *Głąbiński* i dr. Stanisław *Starzyński*. Na pierwszym z nich ciężył obowiązek opracowania podziału okręgów wyborczych w Galicyi i — o ile się to tyczyło polskości — na Śląsku i na Bukowinie. Posłowie Wincenty *Jabłoński* (naprawa ksiąg gruntowych), *Giżowski*, dr. *Małachowski*, dr. *Dulęba* funkcyonowali w komisyach jako pilni referenci.

W delegacyi austryackiej Koło polskie wystąpiło otwarcie przeciwko polityce antypolskiej Prus. Jeżeli tegoroczna taktyka nie poskutkuje, w takim razie zostaje jeszcze Kołu polskiemu na rok przyszły możność, a nawet obowiązek zastosowania metody ostrzejszej: głosowania przeciwko budżetowi ministerstwa spraw zagranicznych, które doradza monarsze utrzymywanie sojuszów z takiemi państwami, jak Rzesza niemiecka, właściwie Prusy.

Gorąco wrosła w serca polskie w ciągu 1906 roku idea solidarności reprezentacyi polskiej w parlamencie wiedeńskim. Mimo więc zmiany ordynacyi wyborczej możemy patrzyć z zadowoleniem na rok, który dokończył żywota. W ciągu owych dwunastu miesięcy przedstawicielstwo parlamentarne zaboru austryackiego złożyło dowody wymowne, że reprezentuje naród żywy, żyjący i do życia mający prawa — rodakom z dwóch innych zaborów na pociechę, wrogom ku nauce i ku przestrodze.

N.

---

lestwie z roku na rok olbrzymie wprost robimy postępy, to zapewne nie ulega wątpliwości. Ale właśnie kwestya naszego wychodźtwa wciąż jeszcze, i po dziś dzień nasuwa z konieczności wprost uwagę, że jeszcze nie dość pracy naszej, że daleko nam do takiego stanu rzeczy, żebyśmy sobie powiedzieć mogli: wszystek lud nasz jest oświecony.

Ten stan rzeczy na razie długo jeszcze pozostanie niedoścignionym naszym ideałem.

A szczególnie piekącą kwestyą będzie właśnie kwestya emigracyi, kwestya wychodźtwa.

Dla czego?

Wszelkie społeczeństwa, których Bóg nie nawiedził nieszczęściem, że odebrano im samodzielność państwową, emigracyę ludu swego — a lud ze wszystkich krajów emigruje zawsze jeszcze — uporządkowały, uregulowały za pomocą swych *państwowych instytucyi*.

Takich instytucyi my Polacy dotąd nie mamy. Poczynione na tem polu próby zawiodły z powodu braku poparcia finansowego, pomimo że uznano potrzebę biur emigracyjnych — powszechnie.

Tak więc i na tem polu t. zw. samopomoc narodowa, zawsze i wszędzie chwalebna, dotąd pozostała niedostateczną.

Czy przyszłość przyniesie nam i tutaj naprawę jaką?

Nie wątpimy o tem, choć przyznać musimy, że wszystkie zabory nasze przechodzą obecnie tak silny ferment wewnętrzny, że szybkiego załatwienia tej kwestyi, szybkiego a szczególnie dostatecznego niestety spodziewać się nie możemy.

Ale — dobrze kwestyę tę przypominać. To też chętnie korzystałem z okazyi sobotniej premiery, by sprawie emigracyi ludu naszego, o ile odnosi się ona do emigracyi za morze, poświęcić tych kilka uwag krytycznych.

Chochlik.

Jaskółki przedwyborcze.

Lwów, 8 stycznia.

W ciągu ostatnich dni zaszły ważne wypadki w sprawie organizowania sił. Reforma wyborcza zostanie w niedalekiej przyszłości uchwalona; pisma wiedeńskie napomykają, iż oznaczono już datę wyborów: 24. marca. W każdym razie niezadługo kraj ogarnie gorączka wyborcza, niebawem a rozlegną się hasła wyborcze. Ze strony polskiej najdonioślejszemi hasłami są: autonomia kraju i solidarność Koła Polskiego we Wiedniu. Zbyteczna dowodzić, jak ważne to postulaty polityki narodowej, a wysunąć je należy wobec agitacyi żywiołów socyalistycznych i „ludowych": pierwsi wręcz są obu postulatom przeciwni, drugim chodzi głównie o zyskanie największej ilości mandatów, a dotychczas obu zasad nie przestrzegali, jakkolwiek w programie swym postulat autonomii Galicyi wysunęli. Agitacya obu tych partyi była i jest bardzo żywa, trzeba zatem przeciwdziałania energicznego.

Dotychczas Polacy w Galicyi organizacyi narodowej, w której skład wchodziliby przedstawiciele rozmaitych stronnictw, nie mieli. Istniał był wprawdzie t. zw. Centralny Komitet wyborczy, temu atoli chodziło głównie o mandaty dla partyi zachowawczych. A potrzebę zbiorowej ochrony naszych interesów narodowych za pomocą powszechnej organizacyi narodowej myśmy od dawna uczuwali. Taką organizacyę mają Niemcy, mają Czesi, Rusini, Słoweńcy — u nas stworzono ją dopiero 28. grudnia z. r. Oto na zebraniu Sejmowego Koła Polskiego, w skład którego wchodzą polscy posłowie zarówno zasiadający w Radzie państwa, jak w Sejmie, uchwalono znieść Centralny Komitet wyborczy, a utworzyć *Radę Narodową*. Celem

jej jest obrona naszych interesów narodowych. „Przy wyborach do Rady państwa i Sejmu krajowego jest zadaniem Rady Narodowej przeprowadzenie jak największej liczby posłów, do obozu narodowego należących, bez względu na różnice w ich zapatrywaniach politycznych. Przy wyborach do Rady państwa Rada Narodowa popierać będzie tylko tych kandydatów, którzy uznają potrzebę solidarności Koła Polskiego, zobowiążą się wstąpić do Koła i wytrwać w niem solidarnie przez cały czas piastowania mandatu poselskiego. Rada Narodowa wpływa z reguły na wybory o tyle tylko, o ile zagraża wybór kandydata antynarodowego lub kandydata, nie uznającego solidarności Koła Polskiego".

Każde ze stronnictw wysyła po trzech przedstawicieli i dwu zastępców, do Rady. Ta mianuje mężów zaufania stronnictw w miastach czy powiatach z przestrzeganiem równomiernego zastępstwa stronnictw. Po ukonstytuowaniu się komitetów miejscowych, będzie zwołany zjazd delegatów, który wybierze 12 nowych członków Rady Narodowej, a ta w ten sposób wzmocniona ukonstytuuje się ostatecznie, poczem w drodze kooptacyi dobierze nowych 12 członków. Kandydatury poselskie stawiają komitety miejscowe, a jeśli zgodzą się na jednego kandydata, Rada nie może odmówić mu zatwierdzenia.

Na Kole Sejmowem wybrano do Rady Narodowej z łona konserwatystów: dra Lea, dra Włodz. Kozłowskiego, dra Tad. Skałkowskiego; z łona demokratów: dra Stan. Głębińskiego, dra N. Löwensteina, M. Michalskiego (zastępcy: Jan Gw. Pawlikowski, Stan. Cuichciński); z grupy ludowej: ks. Pastora, Roztworowskiego, Skolyszewskiego.

Rada, jak widzimy, nie jest organizacyą partyjną, ale na wskroś narodową, a przewagę w niej bezwzględną mają żywioły demokratyczne. Tem bardziej zadziwić nas musi stanowisko krakowskich skoncentrowanych demokratów, którzy się przeciw Radzie oświadczyli. Ludowcy wyraźnie dotychczas się nie wypowiedzieli, p. Stapiński, wódz stronnictwa w piśmie swem „Przyjaciel Ludu" wystąpił przeciw Radzie Narodowej brutalnie i bezwzględnie. Niestety, warchołów u nas w Polsce nigdy nie brakowało.

28. grudnia mieli też zjazd swój Rusini: do stworzenia ogólnego komitetu między nimi nie doszło; z tonu obrad widać jednak, że solidarni pójdą przeciw żywiołowi polskiemu. Znamiennym jest fakt jeden: oto przy wyborach Rusini wejdą w kompromis ze sjonistami, socyalistami i stronnictwami opozycyjnemi polskiemi, które nie uznają Koła Polskiego. Prawdopodobnie więc w zacnem gronie wrogów narodowości polskiej znajdą się te dwa odłamy, o których mówiliśmy wyżej, a które przeciw Radzi. Narodowej się wypowiedziały.

Nie można nic wspomnieć o stworzeniu polskiej organizacyi żydów. Oto w niedzielę 7. b. m. odbył się we Lwowie zjazd posłów żydowskich i delegatów żydów z całego kraju. Postanowiono ustanowić organizacyę żydowską, któraby przeciwdziałała zgubnej agitacyi syonistycznej, a broniła interesów mas żydowskich. Organizacya stoi na gruncie narodowym polskim. A żydzi, stanowiący ósmą część ludności Galicyi, są bardzo ważnym czynnikiem. W Galicyi wschodniej decydować będą po miastach, a i po wsiach mają wpływ niemały.

Takie to jaskółki, zwiastujące burzę wyborczą. *W.*

Przyszłość Rosyi.

Moskwa, d. 29 grudnia 1906 r.

Proroctwo nie było nigdy, a tem mniej jest dzisiaj wdzięcznem zadaniem. Jeżeli pomimo tego zamierzam podzielić się z czytelnikiem zapatrywaniem się mojem na przyszłość państwa, z którem losy większości naszego narodu przez cały wiek tak ściśle były złączone, to powoduje mnie do tego głębokie i niewzruszone przekonanie, że czasy, w których Rosya wszelki rozwój duchowy i materyalny w Królestwie polskiem systematycznie gnębiła, raz na zawsze minęły.

Szowiniści rosyjscy przed wojną japońską szeroko i na pozór głęboko pisali o wielkiem historycznem zadaniu, jakie wypadło Rosyi, jako przewodzicielce narodów słowiańskich. Rosya była ową „matką", która miała zjednoczyć na swem łonie wszystkie narody słowiańskie, wszystkich „braci" Słowian. Tak jak w średnich wiekach nad światem panowały narody romańskie, jak później, zacząwszy od reformacyi, owe narody musiały się tą hegemonią podzielić z narodami germańskimi, a później im nawet ową hegemonią zupełnie odstąpić, tak obecnie miała nadejść chwila, w której świat słowiański pod egidą Rosyi powinien pochwycić ster świata całego w swe młodociane ręce, wyrwawszy go ze zdrętwiałej dłoni „zgniłego zachodu". Były to czasy tak nazw. panslawizmu. I w naszem społeczeństwie wiele słabych głów chorowało na manię panslawizmu.

Marzenia te dziś należą do przeszłości. Dalekim jednakże jestem od twierdzenia, jakoby narodom słowiańskim w wielkim dramacie, który się nazywa historyą świata, nie wypadła żadna ważniejsza rola. Zaznaczam tylko, że to nigdy nie nastąpi pod hegemonią Rosyi i że do tego wogóle żadnej hegemonii nie potrzeba. W wielkiej famili narodów germańskich i anglo-saksońskich, w której skład wchodzą Niemcy, Anglicy, Amerykanie północni, Szwedzi, Duńczycy i inne pomniejsze narody, żaden z nich nie odgrywa jakiejkolwiek przodującej roli, każdy z nich postępuje swoją przez wieki wskazaną drogą i każdy z nich posiada swą oddzielną i swojską kulturę. Nie wiąże narodów tych żadna wspólna myśl, żaden wspólny interes, a drogi ich krzyżują się nawet często w sposób zagrażający pokojowi europejskiemu. Czasy, w których jeden naród mógł stanąć na czele całego świata, niepowrotnie minęły. — Są jednak i będą zawsze istniały takie narody, które jeżeli nie w tym to w innym kierunku przodowały całemu światu. Tak Włochy za czasów odrodzenia nadawały ton całemu światu pod względem sztuk pięknych, tak Francya za czasów Ludwika XIV wytworzyła i udoskonaliła pierwsza ideęześrodkowanego monarchicznego państwa, tak Niemcy przez wynalazek druku położyły podwaliny ogólnej oświaty i rozpowszechnienia wiedzy, tak one dziś razem z Anglią przodują w przemyśle i handlu.

Jakąż wobec tego położyła Rosya ogólną i wszechświatową zasługę, któraby mogła upoważnić ją do przodowania choćby tylko narodom słowiańskim? Zapewne żadnej. Wszystkie ślady nowoczesnej kultury, na które dziś napotykamy w Rosyi, zawdzięcza ona narodom zachodnio-europejskim, a o swojskiej kulturze w tym kraju mowy być nie może, bo wszystko, co tu jest swojskiem, przedstawia właśnie przeciwieństwo kultury i jej brak zupełny.

Do początku XVI. stulecia historya Rosyi odgrywała się w pomroku zupełnego barbarzyństwa, bez żadnej styczności z państwami europejskiemi. Za panowania Iwana Groźnego (1533—1584) pierwsze poselstwo europejskie przybyło do Moskwy. Był to poseł króla angielskiego, który miał zawrzeć stósunki handlowe. I rzeczywiście niezadługo pierwsze statki handlowe angielskich wyspiarzy ukazały się w Archangielsku. Była chwila, kiedy losy Moskwy zawisły w rękach rzeczy

pospolitej polskiej. Zwycięski oręż polski zaniósł chorągwie nasze aż do starej stolicy carów i poselstwo, które miało zaprosić Władysława, syna Zygmunta III. (1586—1632) na tron carski przybyło do Warszawy. Niestety przez niedołęztwo Zygmunta chwila ta wiekopomna, która miała oddać losy całej wschodniej Europy w nasze ręce, została niepowrotnie zmarnowana. Jak w drugim pokoju toruńskim (1466 r.) tak i wówczas sami oddaliśmy oręż w ręce wrogów, którzy przy schyłku 18-go stulecia cios śmiertelny w nas wymierzyć mieli.

Przez cały ciąg średnich wieków, zaczynając od 12-go stulecia, wszędzie w zachodniej Europie tworzyły się podwaliny, na których powstają potężne i samodzielne państwa. Podwalinami temi są miasta i mieszczaństwo. We Włoszech, w Anglii i mianowicie w Niemczech powstał wówczas cały rząd miast, które w zwycięzkiej walce z zachciankami królów i udzielnych książąt, wywalczyły sobie pewną samodzielność. Związek miast niemieckich, tak nazw. *Hansa*, był bez wątpienia potęgą, równającą się cesarskiej i nieraz zwycięzko stawiał jej czoło. Rozwój ten miast niemieckich zatamowała na pół wieku 30 letnia wojna. Lecz niezadługo miasta te podniosły się z gruzów w dawnej świetnej postaci.

Cóż wówczas działo się w Rosyi ku utworzeniu i ustaleniu nowoczesnego państwa? — Nic. Przeciwnie, potęga zupełnego despotyzmu carskiego z wszelkiemi krwawemi i okrutnemi skutkami, szerzącemi zupełną niewolę i ciemnotę, zaczęła się na dobre ustalać. Zrzuciła Moskwa w połowie 16-go stulecia ostatecznie jarzmo tatarskie, lecz bezpośrednio popadła w drugie i straszniejsze. t. j. w jarzmo despotyzmu carskiego. C. d. n.

C. d. n.

Seweryn.

Listy od przyjaciół.

Lwów, dnia 3-go stycznia 1907.

Szanowną Redakcyę „Pracy“ proszę uprzejmie o łaskawe umieszczenie w łamach „Pracy“ następujących słów.

Rzadką uroczystość widziały mury archikatedry lwowskiej obrządku łacińskiego. Dnia 30 grudnia bowiem odbyła się konsekracya ks. biskupa Bandurskiego. Konsekratorem był ks. Metropolita obrz. łac. Józef Bilczewski, współkonsekratorami Metropolita obrz. greckiego Andrzej hr. Szeptycki i Metropolita obrz. ormiańskiego Józef Teodorowicz.

Wzruszający do głębi serca był widok, gdy na głowę biskupa nominata kładli ręce przedstawiciele trzech różnych obrządków katolickich. Bo rzeczywiście Lwów jest jedynem miastem na świecie, posiadającem trzy stolice arcybiskupie trzech obrządków; łacińskiego, greckiego i ormiańskiego, pozostających w łączności z Rzymem.

Lwów, stolica jednej dzielnicy polskiej, w ostatnich latach bardzo się podniósł. Przybyły mu rozmaite gmachy wspaniałe, którychby się żadna stolica europejska powstydzić nie potrzebowała. W ostatnim zaś czasie rozpoczęto w nowo powstałej dzielnicy robotniczej budowę wspaniałego kościoła pod wezwaniem św. Elżbiety. Koszta wynosić będą przeszło milion koron. Celem zebrania potrzebnych pieniędzy urządził komitet budowy kościoła loteryą fantową. Wydanych zostało 800,000 losów po 1 koronie. Ciągnienie tej loteryi naznaczone zostało pierwotnie na 28 i 29 grudnia 1906 r., ale ponieważ nie wszystkie losy do tego czasu były rozsprzedane, więc ciągnienie odroczono do 1 [illegible] października 1907. Nowo budujący się kościół św. Elżbiety będzie najwspanialszą świątynią lwowską i [illegible]ować będzie nad jedną dzielnicą miasta, tak jak nad drugą wznosi się ręką ludzką usypany Kopiec Unii Lubelskiej na Wysokim Zamku.

Ks. N. N.

Co i jak czytać?

(Książki dla młodzieży).

Do mniej dobrych książek dla dzieci i młodzieży należą także powieści o Indyanach północnej Ameryki i walkach tych ginących plemion, jakie toczą z narzuconą im gwałtem cywilizacyą. Rzeczywiste zdarzenia ubarwione nadzwyczajnie bujną wyobraźnią i grubymi efektami, składają się na treść nader ciekawą, stąd też chłopcy z wielkiem upodobaniem czytają te powieści i ulegają często odebranym wrażeniom, — nieraz ze szkodą dla umysłu i charakteru. Zepsuwszy sobie gust na tego rodzaju powieściach, często lichych pod względem literackim, tracą chłopcy nietylko chęć do nauki i wszelkiej umysłowej pracy, ale i zamiłowanie do szlachetniejszych utworów.

Nakarmiwszy do syta wyobraźnię swą obrazami brutalnej przemocy, krwawych scen morderczych i t. d. chłopiec coraz więcej chciwy sensacyi rzuca się na — romanse. Im lichsze, tym więcej go zadowalniają. W księgarstwie niemieckiem stanowią te kolporterskie rzemieślnicze utwory towar nader pokupny wśród sfer niewykształconych. Czyta je marzycielska kucharka przy słabem świetle kuchennej lampy i chłopiec rzemieślnik, walcząc ze snem po całodziennej pracy i uczeń dorastający. Łatwość nabycia tych romansów, które spekulacyjny zmysł nakładcy podaje czytelnikom w małych często powtarzanych tomikach po 10 fen. przyczynia się ogromnie do ich rozpowszechnienia.

Te literackie lichoty, te karykatury powieści, to ciężkie grzechy nietylko przeciw literaturze. ale i przeciw moralności. Autorzy nie wybierają środków dla podniecenia niskich instynktów: miłość i zbrodnia, rozpusta i morderstwo oto główne farby na palecie tych rzemieślników literackich.

Jakiż może być skutek takiej lektury. Zepsucie gustu, obniżenie poziomu umysłowego i moralnego, cynizm w rzeczach wiary i moralności — płytkość sądu, brak wyższych aspiracyi i poczucia obowiązku — wszystkie te smutne objawy występujące coraz wyraźniej wśród młodzieży przypisać można czytaniu złych i lichych książek.

Rodzice polscy! nie potrzeba chyba mówić, jaki stąd dla was wynika obowiązek. Zamiast tych lichych romansów niemieckich dajcie synom i córkom dobrą książkę polską.

W piśmiennictwie naszem nie ma dzięki Bogu tego specyalnie lichego gatunku, gdyż nasi literaci choć i drugorzędni uważają zawód autorski za kapłaństwo i pełnią go z całą uczciwością i szczerą chęcią uszlachetnienia czytelników.

Książka polska w ręku młodego chłopca, to nieraz pierwszy, stanowczy krok ku narodowemu uświadomieniu. Otwiera przed nim nowe horyzonty, rozszerza jego wiedzę, rozbudza zamiłowanie rzeczy ojczystych i umysł jego kieruje ku wyżynom, na których panuje dobro i piękno. Wszystko to spełni dobra książka polska. Dobra zaś jest każda, gdyż, powtarzamy, — fabrykowanie en masse lichych romansów nie istnieje w naszem księgarstwie.

G.

Dwa procesy.

Nie będziemy nużyć czytelnika sprawozdaniami z ostatnich dwóch procesów, w których redaktor nasz, jak wiadomo, skazany został na 400 mk. kary.

Poświęcimy im tylko kilka uwag spostrzegawczych.

Chodziło o strajk szkolny. Nie ulega wątpliwości, że prokuratorya ma zadanie stłumienia głosów prasy polskiej, która tak gorąco popierała sprawę tego strajku.

Dziś prasa polska zmuszoną jest wprost do milczenia.

Czemu? Czyżby zrzekła się wysokiego swego powołania obrony społeczeństwa przed uciskiem niesprawiedliwym? — Nie!

Ale kary zamknęły jej usta, a kary te sypią się nie tylko za te artykuły, w których pisma polskie wprost nawoływały do strajku — ale i za te artykuły, w których dzieci chwalą za ich dzielność, za ich wytrwałość, w których dzieci do wytrwania nawołują.

Nie dość tego. Niech tylko pismo polskie ośmieli się dziecko, które słucha rozkazu rodziców i nie odpowiada na niemieckie pytanie w nauce religii, nazwać bohaterem, męczennikiem, niech je poda za wzór do naśladowania, zaraz prokuratorya ma gotowe oskarżenie o § 110.

Chwalić dzieci za to, że strejkują, to w oczach prokuratoryi — sądy prawie zawsze stawają w tych wypadkach po stronie prokuratora — nawoływanie do strejku, to rzecz karygodna, a więc procesy i kary.

Ale i na tem nie koniec. Kto może przypomina sobie artykuł nasz z nr. 41 „Pracy“, artykuł omawiający „ważność chwili obecnej“, w którym zwracamy uwagę rządowi na to, że strajku szkolnego nie wywołała żadna agitacya że dzięki wielkiej świadomości narodowej wśród dzieci strajk ten potrwać może lata całe, a na końcu radzimy rządowi, by sprawę tę dobrze sobie rozważył, i z tą samą radą zwracamy się także do społeczeństwa naszego, artykuł więc, w którym ani wprost nie nawołujemy do strajku, ani nie wychwalamy dzieci jako bohaterów — ten z pewnością zdziwi się, w jaki sposób prokuratorya mogła dopatrzeć się w tym artykule przestępstwa przeciwko § 110, jak mogła uzasadnić oskarżenie, i na mocy czego sąd redaktora naszego skazał.

A jednak stało się tak, mianowicie dla tego. Artykuł stwierdza, że czy taki czy owaki będzie koniec strajku, to znaczy, że wszystko jedno czy rząd ustąpi czy ostatecznie nasze społeczeństwo, a więc dzieci będą zmuszone do ustępstwa, to w każdym razie od chwili powstania strajku będziemy mieli do zaznaczenia jednę korzyść: *postęp narodowej idei.*

W tem twierdzeniu naszem widział prokurator to, że, choć nie chwaliliśmy w owym artykule strajku, to jednak *zasadniczo godziliśmy się na niego.*

Temu oczywiście redaktor nasz zaprzeczyć nie mógł. Po prostu dla tego że gdybyśmy się na strejk nie godzili, to wynikałby stąd obowiązek *odmawiania od strejku.*

I tego by zapewne prokuratorzy od pism i od redktorów polskich chcieli Istotnie ścigają oni każdy artykuł, który strajku nie potępia, nawet takie, które milcząco na stanowisko rodziców w sprawie niemieckiej nauki religii się godzą.

No, trudno — ale nie znajdzie się zapewne w całym zaborze pruskim żadne pismo polskie, któreby pobożnym życzeniom prokuratów w sprawie strajku zadość uczyniło — innemi słowy któreby albo strajk potępiło, albo odmawiało od strajku.

Stanowisko pism polskich po ostatnich procesach o § 110 w sprawie strajku może być tylko jedno: — *wymowne milczenie!*

Sądzimy, że ta uwaga znajdzie aprobatę prokuratoryi, choć nie mamy zupełnej pewności, czy i w milczeniu prasy polskiej nie znajdzie ona powodu do procesów i kar.

Istotnie — w kwestyach polskich — Prusy prześcignęły sławę Ameryki, którą nazywano powszechnie: krajem nieograniczonych możliwości.

„Krajem nieograniczonych możliwości“ w kwestyach polskich są dziś stanowczo Prusy. Zdaje się, że niezadługo odbiorą one pod tym względem palmę pierwszeństwa Rosyi.

W Rosyi przynajmniej była walka niemaskowana pozorami praw, było brutalstwo i okrucieństwo — u nas sączy się ucisk do chat, domów, serc i dusz naszych pod osłoną — wyższej kultury, cywilizacyi, postępu i jak wszystkie owe hasła antypolskie się jeszcze zowią.

A ten rodzaj ucisku jest bodaj groźniejszy i niebezpieczniejszy.

Polacy na obczyźne.

Bottrop, w styczniu 1907 r.

Kochani Rodacy!

Stosunki, w jakich życie tutejszej Polonii się odbywa, są nader smutne. Pozakładano wprawdzie z biegiem czasu kilka towarzystw, aby zadokumentować w nich życie narodowe, ale dobre chęci tychże tamuje istniejący tu złowrogi nam system, który nie pozwala w większych ilościach się zbierać z powodu braku schronisk, t. j. odpowiednich sal. Aby złemu zaradzić, powstała przed mniejwięcej 3 laty pomiędzy tutejszymi Polakami myśl zbierania składek na budowę własnego domu. Zamiłowanie do sprawy początkowo było wielkie, bo wpłynęło przeszło 2000 mk. na ręce p. J. Swobody, w ostatnim roku jednakże wspomniany zapał ustał i nie można dociec, czy tutejsza kolonia polska straciła wiarę w własną pomoc, w własne siły, czy też inne pobudki przyczyniły się do tego zastoju. Jednostki nie tracąc wszakże nadziei, wierząc w dobre chęci tutejszych Polaków, utworzyły komitet, aby wszczepić więcej zaufania do raz zapoczątkowanej sprawy i ją szczęśliwie doprowadzić do końca. Dla tego prosimy Was usilnie, okażcie komitetowi zaufanie, a sprawie Waszą miłość, i składajcie przy każdej sposobności choć najmniejsze datki na powyższy cel, bo bądźcie mocno przekonani, że lepsze warunki bytu naszego w Bottropie, lepsza przyszłość li tylko w naszych rękach leży, a żadna obca siła nam nie pomoże, choćbyśmy jej całe życie służyli. Gdybyśmy każdy co kwartał 1 mk. dali, osiągnęlibyśmy w bieżącym roku taką sumę, że śmiało powiedzieć moglibyśmy: „teraz wybudujemy sobie własny domek, tam możemy śmiało nasze bóle i skargi wypowiedzieć i nie potrzebujemy czołem bić przed tymi, którzy nam właśnie dużo do zawdzięczenia mają. Wszelkie datki, choć najmniejsze, prosimy na ręce p. Jana Swobody, Feldstrasse 3 przesyłać, za które, jak dotąd, pokwitowanie w gazetach nastąpi.

Izydor Kocyan,
przewodniczący.

Jan Tatarczyk, sekretarz. — *Jan Swoboda,* skarbnik.

Jan Demel. — *Jerzy Kłosok.*

Od Redakcyi: Powyższą odezwę szczerze i gorąco polecamy uwadze braci naszych z Bottropu.

Nasze książki.

„Któż się nad tym zadziwi, że wiek jeszcze głupi?
„Rzadko kto czyta księgi, rzadko je kto kupi“.
(Naruszewicz).

Książki to są wielkie skarby i bogate kłosy.

Gdzie się one rozsieją, rozrzucą, rozmnożą, tam wzrasta potęga ducha, tam siły się powiększają, tam talenta rozkwitają, tam czyny nie codzienne i nie pospolite przynoszą ogromne korzyści.

Lecz książka książce nie równa i wpływ głupiego romansidła nie może być jednakowo obliczanym z wpływem

książki naukowej, książki, która umie serce uszlachetnić i charakter wyrobić korzystnie.

Im naród jest mniej oświecony, tem łatwiej niegodziwym ludziom rozrzucać i rozsiewać złe, liche, głupie, a częste nawet trujące książki. Znachodzi się więc nie mało takich ludzi, którzy z książek robią sobie handel, którym wcale o to nie idzie, ażeby w narodzie rozsiewali prawdę, oświatę i naukę, ale idzie im tylko o to, ażeby na głupie romansidła, na liche ryciny, łapali czytelników jak muchy na lep, a cieszyli się serdecznie, iż łatwym sposobem do majątku przyszli.

W innych narodach, gdzie oświata już ogromnie wiele dobrego zrobiła, tam wydają książki dobre, pożyteczne, ładne i bardzo tanie, dla tego, bo tam drukują książki w 100,000 egzemplarzach, a te rozchodzą się w niedługim czasie.

U nas — polskie wydawnictwa książek nie mogą być tak piękne i tanie, bo u nas drukuje się ledwie 2—3 tysiące egzemplarzy, a i te powoli się rozchodzą.

Jeden chce czytać, ale pożyczone.

Drugi chce czytać, ale darowane.

Inny wcale czytać nie chce i powiada, że woli się zabawić w bilard, albo w kręgle.

Ledwie tu lub tam znajdzie się taki, który kupi książkę i przyniesie ją do domu, a w domu nie jeden raz usłyszy dość wymówek.

Bo żona woli, ażeby kupić firankę do okna, albo garnek do kuchni, aniżeli książkę.

A inna żona powiada: — Wolałbyś kupić kapelusz lub bluzkę, bo dla niej to ładniejsze, co ubierze, barwne, kraciaste, jaskrawe i oczy sąsiadki zachwyci, a książka ani zazdrości nie wzbudzi, ani do twarzy nikomu nie będzie.

Jednakże, o wiele by lepiej było nam pod każdym względem, gdybyśmy się książkami polskimi więcej interesowali i więcej te książki miłowali.

Nasze książki stałyby się tańsze i piękniejsze gdyby były więcej rozkupywane.

Aż żal serce przejmuje i wstyd czoło pali, gdy spojrzymy na wydawnictwa książek niemieckich. Ile oni tych książek rocznie wydadzą! Ile rozrzucą wśród swoich!... Ile posieją prawdy i wiedzy!...

A my — ledwie kilka, kilkanaście broszurek, parę, albo i jeszcze mniej większych dzieł wydamy nowych, bo niema komu kupować.

Wódkę, piwo, wino, arak, cygara... na to każdy ma pieniądze. Na książkę żal wydać parę groszy.... A jednakże książka przecież i od wódki i araku i wina milsza i pożyteczniejsza!

Ruszmy się tylko z ochotą i zapałem do tej i owej księgarni, zacznijmy kupować ciekawe i miłe książki dla dzieci, dla żon, dla sąsiadów, dla służby, dla robotników, a obaczymy, wkrótce obaczymy, że i plony z czytania okażą się nie małe i nasze książki staną się coraz ładniejsze i tańsze. Książka to milszy nieraz gość od tego, co nas unudzi, umęczy, a w końcu obgada i obśmieje. Książka, to lepsza zabawa od tej w piwiarni lub w kręgielni, bo po przeczytaniu książki zostanie zawsze bodaj jedno ziarenko nauki i promyk światła, a z tego ziarenka i promyka może urość korzyść dla narodu i Ojczyzny. Książka to silna broń przeciw nieprzyjacielskim zamiarom, ale książka nie w księgarni, lecz w rękach tysiąców — tysięcy...

Rodacy!... Kupujcie polskie książki! *Iskra.*

Tydzień polityczny.

W ostatni dzień ubiegłego roku, bodaj w noc sylwestrową, wydał kanclerz *Rzeszy niemieckiej* ks. Bülow manifest do narodu niemieckiego. Manifest ten zwraca się do zarządu „związku rzeszy“. Pierwszą cechą charakterystyczną jest właśnie chwila wydania manifestu. Dzień św. Sylwestra, dzień poświęcony wspomnieniom ubiegłego roku. Ks. Bülow zapewne ten właśnie dzień wybrał dlatego, aby okazać światu, jak bardzo mu na sercu leży sprawa przyszłego parlamentu. Nawet w św. Sylwestra nie odpoczywał, nie rozpamiętywał przeszłości — patrzał w przyszłość.

Nie dziw. Z chwilą, gdy w świąteczne dni Bożego narodzenia, w dni, które mają służyć „pokojowi dobrych ludzi na ziemi“, nadeszła wiadomość o poddaniu się prawie ostatniego szczepu murzyńskiego Bondelswartów, stało się jasnem, jak nierozważnie (mówimy bardzo parlamentarnym językiem) postąpił sobie rząd rozwięzując parlament z powodu drobnej sprawy afrykańskiej, z tą chwilą nad głową ks. Bülowa zaciemniło się niebo polityczne, horyzont przyszłości grubemi nieprzejrzystemi zaciągnął się chmurami.

Jak te mroki w około siebie rozedrzeć, rozjaśnić, oto pytanie, które zatruwało ks. Bülowowi spokojne chwile trawienia strucla świątecznego.

I jaki skutek? — Wprost fenomenalny! Bülow wydaje w ostatni dzień starego roku — manifest przeciwko socyalistom.

Czytając manifest odnosi się wrażenie, że autor jego przechodził ciężką niedyspozycyę cielesną po struclach orzechach, piernikach, marcypanach i t. p. słodyczach, których zapas na stole świątecznym i na choince w tak wielkich domach zapewne jest niepomiernie obfity.

„Kowal zawinił, a krawca powiesili“, możnaby o owym manifeście powiedzieć. Rząd zrobił głupstwo, niechże winę ponoszą socyaliści, a z nimi inne wrogi Rzeszy niemieckiej jak centrum, Welfowie, no i naturalnie Polacy.

Najwięcej gróźb oczywiście spada na rozpalone do czerwoności głowy socyalistyczne. Oni podkopują władzę, własność, religię i ojczyznę. Ale tak dalej iść nie może. Ks. Bülow powiada, że w czasie rewolucyi francuskiej w najgorszych chwilach rozuzdania rewolucyjnego znalazł się „miecz Napoleona“, dając w ten sposób do zrozumienia, że i na socyalistów znajdzie się miara do poskromienia ich, gdyby — tego naturalnie trzeba się doczytać między wierszami — ośmielili się w zbyt wielkiej liczbie wrócić do parlamentu.

Czyżby ks. Bülow obawiał się, że socyaliści w przyszłym parlamencie liczebnie największą będą partyą? — i czyby dla tego tak groźnie wymachiwał przeciwko nim mieczem Napoleona, by ich odstraszyć od urny wyborczej?

Obawiamy się, że socyaliści wielkiego miecza Napoleona w ręku ks. Bülowa zbytnio się nie wystraszą. Dzielą oni zapewne i nasze przekonanie, że miecz ten dla dzisiajszego kanclerza Rzeszy zbyt wielki i ciężki. Mógłby łatwo nie kogo innego — lecz właśnie jego samego przydusić.

Ogólne zresztą i w prasie niemieckiej (nie rządowej) jest mniemanie, że manifest ten to drugi nierozważny krok ks. Büowa, który opozycyę t. j. centrum, socyalistów, Welfów i Polaków tylko wzmocnić może.

Czy w takich warunkach ks. Bülow pomimo całej swojej gładkości utrzyma się na krześle kanclerskim?...

We wtorek 8. bm. otwarto sejm pruski. Mowę od tronu wypowiedział jako prezes ministrów ks. Bülow. Mowa ta zaznacza, że położenie finansowe Prus wciąż jest bardzo korzystne, zapowiada podwyższenie pensyi różnym urzędnikom, rozszerzenie sieci kolejowych — no i naturalnie (!) odpowiedni (!?) projekt celem wzmocnienia niemczyzny na wschodzie, ponieważ historyczne zadanie Prus w dzielnicach tych wymaga bardzo poważnych wysiłków.

Naturalnie, bez projektu antypolskiego sesya pruskiego sejmu odbyć się nie może. Ale jakiż on będzie? — czy będzie to osobna ustawa przeciwko strajkowi szkolnemu? — czy może prawo wywłaszczenia? — a może tylko napełnienie dziurawej kiesy komisyi kolonizacyjnej?

Projekt z pewnością zapowiada rozwiązanie dwóch ostatnich kwestyi — ale jaki on będzie, na razie tego trudno dociec. Tekst mowy tronowej jest zbyt tajemniczy.

Wybory do Rady miejskiej w Poznaniu.

Udział w wyborach był tak ze strony polskiej, jak i niemieckiej nadzwyczaj liczny. W lokalach wyborczych oddano z naszej strony wszystkie prawie głosy. Rezultat walki wypadł jednak nie tak, jakeśmy się byli mogli tego spodziewać. Liczyliśmy na zdobycie okręgu II. — ulicy Rycerskiej — i pobito nas głosami 47. Podajemy krótkie zestawienie głosów.

Okręg I. (Stare miasto).

Budowniczy Frankiewicz otrzymał głosów 593.

Adwokat Drwęski 591.

Kupiec Zenon Lewandowski 591.

Budowniczy Czesław Leitgeber 594.

Niemcy otrzymali: 426, 425, 399 i 421 głosów.

Zwyciężyliśmy zatem 68 głosami większości.

Okręg II. (Ulica Rycerska).

Niemcy otrzymali po 876 głosów.

Polacy:

Adwokat Mieczkowski otrzymał 828 głosów.

Profesor Drygas 829 gł.

Adwokat Seyda 828 głosów.

Przepadliśmy zatem 47 głosami. Podnieść jednak należy, że właśnie w tym okręgu udział wyborców był z strony polskiej największy.

Okręg III. (Ulica Naumanna).

Niemcy oddali głosów 754, Polacy 466, czyli: przepadliśmy 288 głosami.

Okręg IV. (Chwaliszewo).

Adwokat Trąmpczyński otrzymał 840 głosów.

Stanisław Offierski 842 gł.

Kupiec Kajetan Ignatowicz 839 gł.

Niemcy otrzymali: 654, 664, 660 głosów.

Zwyciężyliśmy 178 głosami większości.

Jerzyce.

Niemcy oddali głosów 960, Polacy 700, przepadliśmy 260 głosami.

Św. Łazarz.

Niemcy oddali głosów 796, Polacy 355, brakło nam głosów 441.

Wilda.

Niemcy oddali głosów 1056, Polacy 379, brakło nam głosów 677.

W drugiej klasie nie przeprowadziliśmy naszych kandydatów. To samo będzie w klasie pierwszej. Liczba polskich radnych wynosić zatem w Poznaniu będzie na ogólną liczbę 60 tylko siedmiu, a w najlepszym razie 8!

Wykłady i egzamina

dla urzędników gospodarczych

odbędą się dnia 23 i 24 stycznia 1907 roku.

Program szczegółowy wykładów ogłosimy później.

Kandydaci zamierzający poddać się egzaminom na pisarzy lub urzędników, zechcą zgłosić się do sekretarza Zarządu p. Ostena (w Poznaniu ulica Wiktoryi nr. 2), poczem otrzymają program i uwiadomienie o warunkach.

Zgłoszenia należy nadesłać najpóźniej do dnia 15 stycznia 1907 r.

Zarząd Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

Wiadomości.

* **W procesie przeciw ks. Gryglewiczowi** ze Slesina przed izbą karną w Pile, który się odbył dnia 20-go z. m., o czem już donosiliśmy, zeznał pod przysięgą i za zezwoleniem przełożonej władzy szkolnej powiatowy inspektor pan Hoppe z Nakła, że w ostatnich latach królewska rejencya w Bydgoszczy wydała rozporządzenia, na mocy których wolno i na najniższym stopniu w szkołach elementarnych zaprowadzać niemiecki język w nauce religii. Na twierdzenie oskarżonego, że żaden z nauczycieli nie otrzymał tych rozporządzeń na piśmie, nie nastąpiło żadne zaprzeczenie.

Zeznał p. Hoppe dalej, że dzieci powiatu wyrzyskiego, a prawdopodobnie i bydgoskiego, podzielono na cztery kategorye:

1) dzieci, które tylko niemieckim językiem władają;

2) które w równej mierze posiadają znajomość języka niemieckiego i polskiego;

3) dzieci, których językiem ojczystym jest wprawdzie język polski, ale które w pewnej mierze znają język niemiecki, choćby tylko w małej liczbie wyrazów;

4) dzieci, które wcale niemieckim nie władają.

Przyjmuje się atoli, że dzieci zaliczonych pod nr. 4 w powiecie wyrzyskim, a zatem prawdopodobnie i bydgoskim, wcale niema, chyba tylko w pojedyńczych przypadkach. Ponieważ zaś rejencya rozporządziła, że dzieciom pod nr. 1, i 3 wymienionym nauka religii ma się udzielać w niemieckim języku, z tego wypływa, że w powiecie wyrzyskim i bydgoskim wszystkie dzieci bez wyjątku, a zatem i w najniższym oddziale, naukę religii w niemieckim języku pobierać mają. Oskarżony wyliczył wprawdzie do piętnastu miejscowości należących do jego parafii, w których żadna niemiecka rodzina nie mieszka i śmiało twierdził, że już w jego parafii wiele jest dzieci, które nawet przed wstępem do szkoły słowa niemieckiego nie słyszały, lecz tych jego wywodów nie uwzględniono.

* **Proces o zlot.** W październiku 1905 r. odbyła się zabawa „prywatna“ w parku p. J. Kościelskiego w Miłosławiu. *Prywatna* dla tego, ponieważ uczestnicy jej, a byli to Sokoli, zaproszeni zostali prywatnie przez właściciela parku. Prokuratorya zrobiła z tego *zebranie*, usiłując inicyatorów jego pociągnąć do odpowiedzialności za niezameldowanie, za urządzenie zebrania pod gołem niebem bez policyjnego pozwolenia. Proces zapowiedziany na listopad ub. r. budził dla tego żywe zainteresowanie, ponieważ na ławie oskarżonych zasiąść mieli obok pana Józefa Kościelskiego prezes związku Sokołów adw. mec. Chrzanowski, Karol Rzepecki, Stefan Rowiński i wielu innych. Istotnie proces toczył się przez gnieźnieńską izbą karną, dnia 3 i 4 b. m. z tym skutkiem, że wszyscy oskarżeni prócz p. Kościelskiego, który z powodu choroby na termin nie stanął, zostali — *uwolnieni*. Sąd w wyroku wypowiedział godne uwagi zdanie. Przyjmując zebranie nawet jako publiczne, zgodził się na uwolnienie oskarżonych a mianowicie dla tego, ponieważ na zebraniu *nie mówiono o sprawach publicznych.*

* **Procesy prasowe** *o strajk szkolny.* Dnia 3-go b. m. toczyły się przed izbą karną w Poznaniu dwa procesy przeciw redaktorowi odpowiedzialnemu „Dz. Pozn.“, p. D. Królikowskiemu. Pirwszy proces skończył się zasądzeniem oskarżonego na 100 marek kary; w drugim dzięki znakomitej obronie mecenasa pana dr. Mieczkowskiego, został oskarżony uwolniony od winy i kary. Prokurator żądał w obydwóch wypadkach 100 marek kary, dowodząc, że „Dz. Pozn.“, chociaż jest

pismem umiarkowanem, to jednakowoż, gdy chodzi o obronę spraw narodowych, nie ustępuje w niczem polskim pismom najradykalniejszym.

Dnia 5-go b. m. toczyły się cztery procesy o artykuliki w sprawie szkolnej przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi „Kuryera“, panu Kaźmierzowi Ziółkowskiemu.

Prokurator wniósł w pierwszych trzech wypadkach w każdej o 200 marek kary, w czwartej o 300 mk. kary, natychmiastowe uwięzienie wzgl. pozostawienie p. K. na wolnej stopie za kaucyą w wysokości 3000 mrk.

Sąd skazał p. K. w pierwszym wypadku na 200 mrk., w drugim na 150 mrk., w trzecim i czwartym po 200 mk. — razem 750 marek kary. Wniosek o uwięzienie oskarżonego odrzucono. Bronił adwokat dr. Mieczkowski.

Następnie rozpoczęły się rozprawy w dwóch wypadkach przeciw redaktorowi „Gońca Wielkop.“ p. Szpotańskiemu.

Pan Szpotański bronił się sam, ponieważ obrońca jego poseł pan dr. Dziembowski ciężko zachorował. W jednej sprawie skazał sąd oskarżonego na 50 mrk. grzywien lub 5 dni więzienia; prokurator wniósł o 150 mk. Drugą sprawę sąd odroczył na wniosek oskarżonego.

* **Dola redaktorów polskich.** Izba karna w Opolu skazała odpowiedzialnego redaktora „Gaz. Opolskiej“, p. W. Wróblewskiego na 4 miesiące więzienia za artykuł, zamieszczony w numerze 80 „Gaz. Opolskiej“ z dnia 5 października 1906 r. pod tytułem „Pruskie fajności“, w którym pisano, że Polakowi nie godzi się przywłaszczać sobie pruskie barwy i chwalić się swoją bytnością w wojsku pruskiem, gdy nas tam dosyć prześladowano. Sąd uznał za najwięcej karygodny ten ustęp, w którym przytoczono nazwisko Kościuszki (iż w wielu domach nie ma niestety obrazów narodowych: Mickiewicza, Poniatowskiego i Kościuszki).

* **Ośmdziesięciu duchownym** wytoczono proces na podstawie § 110 — o podburzanie do oporu przeciwko władzy. — W samym lubawskim powiecie oskarżono 25 duchownych na podstawie § 110, ponieważ wydali odezwę, dotyczącą strejku szkolnego.

* **Zebranie przedwyborcze** *dla średzkiego powiatu* odbędzie się *w niedzielę, 13-go stycznia b. r. po południu o godzinie drugiej w Środzie na sali p. Banaszynskiego na plantacyi.* Porządek dzienny: wybór trzech kandydatów na posłów do parlamentu, sprawozdanie poselskie Dr. Alfr. Chłapowskiego. O liczny udział uprasza
Komitet wyborczy na powiat Średzki.

* **Wiec wyborczy** dla miasta Pniew i okolicy, odbędzie sę w *Pniewach, w niedzielę dnia 13-go stycznia r. b. o godz. 1 w południe, na sali p. Skórnickiego.*

Na wiecu tym przemawiać będzie poseł nasz p. hrabia Mielżyński.

O liczny udział prosi
Komitet wyborczy miejscowy.

* **Ponowna uchwała sądu gliwickiego.** W sprawie p. Pyki, którego sąd w Zabrzu pozbawił praw rodzicielskich za to, że zakazał swoim dzieciom uczyć się religii w języku niemieckim, odrzucił sąd ziemiański w Gliwicach zażalenie obrońcy dr. Seydy. Obrońca wniósł dalsze zażalenie do kamergerychtu.

* **Prowincyalne kolegium szkólne** wydało do dyrektorów wszystkich wyższych zakładów naukowych w W. Ks. Poznańskiem rozporządzenie, aby tych dzieci ze szkół elementarnych, które biorą udział w oporze przeciwko niemieckiej nauce religii, do gimnazyów ani do zakładów preparandów nie przyjmowano. — Niemczyzna to — kultura!

* **Do kasy prowincyonalnego** *Komitetu wyborczego* złożyły składkę za rok 1906 powiaty: śremski, odolanowski, poznański zachodni, czarnkowski, gnieźnieński, jarociński, międzychodzki, średzki, gostyński i strzeliński.

M. Więckowski, skarbnik.
Teatralna 6.

* **Niemczyzna w kościele.** Z Sypniewa (powiat złotowski) piszą do „Gaz. Gdańskiej:“ Niemczyzna wciska się już na dobre nawet do kościoła. Niemieckie kazania odbywały się do ostatniego czasu co czwartą niedzielę, choć i tego było za wiele dla tych kilku Niemców, których tu mamy. Pewnego dnia zapowiedział nagle ks. proboszcz, że za porozumieniem się z ks. Biskupem będzie odtąd kazanie pół godziny po polsku, pół godziny po niemiecku, i to przez trzy niedziele rozpocznie się kazanie po polsku, w czwartą po niemiecku. Oprócz tego wprowadził niemiecką modlitwę przy rozmaitych okolicznościach. A pożal się Boże, trafiają się Polacy, którzy głośniej odpowiadają na niemiecką modlitwę od Niemców.

Gorsza jednakowoż jeszcze, że Polacy tutaj nietylko oporu germanizacyi nie stawiają, ale sami się do niemczyzny przyczyniają. Gdy w zeszłym roku założono tu „krygerferajr,“ Polacy hurmem do niego przystępować poczęli, starzy i młodzi, chociaż winni byli wiedzieć, jake to cele owe „ferajny“ mają.

Nie dziwić się, że przy takiem usposobieniu i przy takiej obojętności Polaków coraz to więcej majątków przechodzi w niemieckie ręce. Przed niedawnym czasem sprzedał p. Świt swe piękne gospodarstwo, około 130 mórg Niemcowi p. Wilkensowi, bez wszelkiej potrzeby, jedynie dla zarobku. Pan Świt zamierza nabyć inne gospodarstwo.

* **Panie** piastują z konieczności w naszem społeczeństwie rolę o wiele ważniejszą, niż gdziekolwiek indziej. Przyczyn tej potrzeby, że są tylko logicznym następstwem politycznego położenia i ekonomicznych warunków, dociec wcale nie trudno.

U nas jest wszystko inaczej, niż tam, gdzie naród sam o sobie stanowi, a robota nasza temu jest tak ciężką ,że musimy się bić, mozolniej niż reszta ludzi, o kłosy na roli, i jak nikt inny, o narodową przyszłość.

W każdej gorącej walce zawsze kobiety brały u nas niepośledni udział, a jak licznie i gorliwie pracują dziś wszędzie, gdzie tylko zdobyć coś można dla dobrej sprawy, o tem, w obec mnogich dowodów z codziennego życia rozpisywać się już wcale nie potrzeba.

A jednak gdzieś, i to na najodpowiedniejszem dla kobiety polu działania, wcale jej prawie niema: w ludowych czytelniach! Na 1600 filii, założonych przez towarzystwo, jest bowiem tylko 18 bibliotekarek i trudno zaiste, wytłomaczyć sobie ten zadziwiający niezmiernie objaw inaczej, jak tylko niewiadomością ogółu, że panie tak samo czynne być mogą w bibliotekach, jak i mężczyźni.

Gdyby panie więcej się chciały opiekować czytelniami niż dotąd i to nie tylko przygodnie, ale przez przyjmowanie funkcyi bibliotekarek, to wtenczas Towarzystwo Czytelni Ludowych o wiele łatwiej mogłoby spełniać swoje zadanie, a uprawnia do tej supozycyi znamienna wielce okoliczność, że panie, które ten urząd już piastują, tak są staranne, zabiegliwe i przedsiębiorcze, że mężczyzna wcale się z niemi mierzyć nie może.

Twierdzenie, że przyszłość ściśle jest zależną od naszego umysłowego wykształcenia, ma bez wątpienia głęboko uzasadnioną podstawę, a że czytelnie ludowe są teraz naszą jedyną tylko szkołą, więc też od ich rozwoju będzie zależało, czy wogóle być będziemy lub nie.

Społeczeństwo byłoby zatem wiele wdzięczności winne paniom, któreby w ten łatwy a skuteczny sposób poparły Tow. Czytelni Ludowych w Poznaniu.

— **„Wyzwolenie“**, Tow. zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych. W niedzielę, 13 b. m. zebranie na sali Dominikańskiej o godz pół do 8 wiecz. Na porządku obrad zajmujący wykład. Gościom obojga płci wstęp dozwolony. Kto ma czas, a chce wieczór niedzielny godziwie spędzić niech przybędzie na zebranie. Precz z alkoholem! O liczny udział prosi *Zarząd.*

* **Szczęście w obczyźnie!** Jako przyczynek charakteryzujący stósunki na obczyźnie podajemy poniżej list, który odebraliśmy z prośbą o umieszczenie.

List otwarty do mego rodzonego brata, Marcina Sokolińskiego, robotnika w *Rudnikach pod Opalenicą* — w Wielkopolsce.

Dortmund, dnia 1 stycznia 1907
Kochany bracie!

Opuściłem miasto Kolonią, a wieczorem tego samego dnia przyjechałem do Bochum. Od wczoraj przebywam w Dortmund we Westfalii. W obu tych miastach, są liczne setki różnych robotników włącznie rzemieślników — bez najmniejszej pracy zarobkowej. Stąd panuje tu wielka nędza, którą gazety po prostu tają przed światem całym. Wielu z tych nieszczęśliwych ofiar przebywa dziennie po gospodach, mianowicie wstrzemięźliwości czyli z niemiecka „Herberge zur Heimat“ i innych. Zaś przez całe noce wśród silnego i tu zimna, bo śniegu i mrozu, lub też silnego a zimnego deszczu, pod gołem niebem, drząc od zimna i głodu. I ja z nimi. Kryjemy się przynajmniej przed deszczem i władzą, która nam bardzo często odmawia

poparcia, a nawet ścigą nas jakby dzikie zwierzęta. I gdy którego z nas nieszczęśliwych zdybie przy żebrocie choćby tylko fenyga, aby choćby najlichszy nocleg na gospodzie opłacić, albo kawałek chleba lub kiełbasy może z koniny zjeść, zaraz bez pardonu pakują nas za to do więzienia lub do domu robotniczego. To okropne! Pozdrawiam Cię zawsze Twój kochający brat

Jan Sokolinski,
krawiec proletaryusz.

N. B. Wkrótce wracam do Bochum i tam przebywać będę w Herberge zur Heimat — Humboldtstr. M

* * *

Tak daleko list. Mówi zeń głód i nędza, po które ów wygnaniec z pewnością się nie udawał na obczyznę. A kto wie, może źle wyuczył się swego zawodu, może opuścił dom i rodzinę z wrodzonego popędu do włóczęgostwa? Któż to wiedzieć może! W każdym razie list jego jest drogocennem dla publicznej opinii świadectwem, że nie każdy w obcych stronach szczęście znajduje.

* **We Wrześni** potrzebny koniecznie *dobry, trzeźwy mistrz garncarski* — byt zapewniony! Adres wskażemy.

* **Ogłoszenie** *p. Władysława Zadorskiego* w dzisiejszym numerze „Pracy" o otwarciu przez niego *składu maszyn do szycia w Inowrocławiu*, przyjmą szanowni czytelnicy nasi w ziemi Kujawskiej niezawodnie z prawdziwą radością, gdyż, jak nam wiadomo, będzie to jedyny w swoim rodzaju specyalny polski skład maszyn, prowadzony przez fachowca, mającego długoletnią praktykę za sobą.

Pan Zadorski pracował nieprzerwanie przez 29 lat w znanej ze swej zamożności wielkiej firmie Amerykańskiej, mającej składy maszyn do szycia, jako właściwy jej kierownik i to w filiach w Warszawie, Częstochowie, Radomiu i Skierniewicach. Milionowa ta firma, nie bacząc na zawieruchę panującą obecnie w kraju, nie uwzględniając jego długoletniej wiernej pracy, wyciągnąwszy przez wpływy i osobistą gorliwość jego wielkie z kieszeni Polaków zyski, narzuciła mu bezwzględnie nowe obowiązki, jak jeżdżenie wózkiem po wzburzonym kraju w celu inkassowania, a to stawiało przed oczy widmo grabieży i zamordowania, następnie, chcąc sobie powetować straty u dłużników z zawieruchy wynikłe, nie uwzględniając ciężkich warunków i wzrastających potrzeb, zmniejszyła mu o 1/3 dochody. Wobec na dobitkę rozchorowania się p. Z. prośbę o udzielenie urlopu w celu leczenia się odrzucono, a tem samem zwolniono go z obowiązków bez wynagrodzenia i bez wszelkiego względu. Tak postąpiła firma Amerykańska, której zarząd wyłącznie w rękach niemieckich spoczywa, z wszystkimi kolegami jego, wysłużonymi reprezentantami, mającymi moralne prawo do emerytury, aby na miejsce ich, żywioł przeważnie żydowski i niemiecki osadzić.

Pan Z. powróciwszy do zdrowia, ufny w swą znajomość fachową i zalety osobiste, które obcym kieszeń napychały, pewnie się na życzliwości swych ziomków nie zawiedzie, a wart prawdziwie poparcia, zwłaszcza, że działanie swe chce jak dotąd opierać na sumienności.

„Szczęść mu więc Boże" w Inowrocławiu.

* **Prośba:** *Stanisław Sosiński*, piekarz inwalida, lat 33, Polak-katolik nie mogący zapracować na chleb dla siebie, żony i trojga nieletnich dzieci prosi o pomoc i wsparcie.

Prośbę tę polecamy gorąco miłosierdziu czytelników naszych, tem więcej, że proszącemu z nieprzychylnej nam strony robi się trudności z uzyskaniem renty, a to dla tego, że podczas pobytu w lazarecie niemieckim nie chciał odmawiać wspólnych modlitw protestanckich.

Składki chętnie przyjmować i kwitować będzie redakcya „Pracy".

Od Administracyi!

Wszystkich tych Szanownych Czytelników, którzy piszą do nas o zaległe numera „Pracy" nie odebrane z poczty lub też z jakiejbądź innej przyczyny, upraszamy, aby zawsze dołączali do listu znaczek dziesięciofenygowy na porto jednego numeru „Pracy" a znaczek dwudziestofenygowy na porto za dwa lub trzy numera „Pracy". Jest to warunek konieczny, o którym niech zechcą pamiętać Szanowni Czytelnicy!

Nasza ofiarność

Na fundusz im. ś. p. Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa Dr. Floryana Stablewskiego — na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej — złożyli w naszej redakcyi w dalszym ciągu: pp. Władysław Balski z Żnina w miejsce powinszowań noworocznych 5 mrk; Michał Marciniak z Oberhausen z „gwiazdki" Sokoła z Oberhausen I. 5 mrk; J. Saganowska 2 mrk; T. Głowacki 1 mrk; J. Kaczor 2 mrk; S. Gawroński 1 mrk; A. Mączyński 1 mrk; wszyscy z Gierłachowa pod Bojanowem.

Razem złożono dotychczas 323 marek 90 fenygów.

* * *

Na cele wyborcze: p. N. N. z Berlina w miejsce powinszowań noworocznych 3 mrk.

Na elementarze polskie: p. N. N. z Berlina w miejsce powinszowań noworocznych 2 mrk.

Ofiarodawca jako warunek przyjęcia tego datku stawia do nr. 1 następujący dopisek: „Potępiam politykę naszych klerykalno-pseudodemokratycznych kół parlamentarnych, lecz godzę się na najsilniejsze zadokumentowanie naszej egzystencyi narodowej przez wybory."

Niech i tak będzie. Ofiara płonie z naszego patryotyzmu, a tej odrzucić nam nie wolno; zresztą o „dopisku" każdemu wolno myśleć co mu się podoba.

Na biednych weteranów z 1863-go roku: p. W. Przymusiński z Drezna 8 mrk. 10 fen; które zebrał na „gwiazdce" w Towarzystwie Polskich Przemysłowców tamże.

* * *

Na Czytelnie Ludowe: pan Fr. Chojecki ze Szczecina 1 mrk. w znaczkach pocztowych.

Nekrologia.

† Ś. p. *Józef Gładysz*, dnia 3-go b. m. w Śremie. R. i. p.

† Ś. p. z *Adamskich z Wabcza, Marya Ludkiewiczowa*, dnia 1-go b. m. w Jaguszewicach. Pogrzeb odbył się dnia 5-go b. m. w Jabłonowie. R. i. p.

† Ś. p. *Sylwester Filipowski*, dnia 2-go b. m. w Waldheim, przeżywszy lat 72. R. i. p.

† Ś. p. *Wacław Pruszak*, dnia 5-go b. m. w 27-ym roku życia w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Paweł Sikorski*, dnia 7 go b. m. w 81-ym roku życia w Leśnie, w powiecie chojnickim, w Prusach Zachodnich. R. i. p.

† Ś. p. *Karol Preibisz*, dnia 7-go b. m. w 51-ym roku życia w Brattianie (Prusy Zachodnie). R. i. p.

† Ś. p. *Aniela z Wyrobskich Urbańska*, dnia 6-go b. m. w 53-im roku życia w Poznaniu. R. i. p.

Ruch w Towarzystwach.

— **Wrocław.** Roczne walne zebranie Towarzystwa Polsko-Katolickiego odbędzie się w niedzielę dnia 13 stycznia o godzinie 6 wieczorem na sali domu św. Wincentego przy Seminargasse nr. 15. Na porządku dziennym wybór nowego zarządu. Udział wszystkich członków bardzo pożądany, a goście mile widziani

Zarząd.

OD REDAKCYI.

— *Do Bruckhausen „Rodakowi."* — List odebraliśmy — żałujemy, że go umieścić nie możemy. Z zasady wolimy o ludziach pisać dobrze — jak źle, bo nie wierzymy, żeby zwymyślanie, albo publiczne napiętnowanie kogokolwiek już poprawiło. Nie wierzymy w to. Byłoby nam stokrotnie przyjemniej, gdyby Pan — bez skarg i żalów — spokojnie i rzeczowo od czasu do czasu opisywał stosunki wśród tamtejszych rodaków. My ze swej strony tę i ową uwagę dodamy — znamy bowiem Bruckhausen z własnego doświadczenia, — a przez to z pewnością niejednego na dobrą drogę naprowadzimy. Dziękujemy Panu, pozdrawiamy i prosimy o pamięć.

— *Panu Wawrzynowi Ł. w Altenbochum (Westfalia).* — Książka, traktująca o rewolucyi w 1912-ym roku w polskim języku nie istnieje.

— *J. S. 125.* — 1) Bank Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, ulica Wilhelmowska, 2) Bank Przemysłowców w Poznaniu Stary Rynek, 3) Kasa pożyczkowa w Gnieźnie, 4) Kasa pożyczkowa w Ostrowie, 5) Bank ludowy w Inowrocławiu.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

36) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem sprzymierzone mocarstwa przygotowywały wzajemne układy w *Bartensteinie* (21 kwietnia 1807 r.)

— Ach ci Polacy — myślał znów niechętnie Napoleon — wrogowie moi będą teraz chcieli zjednać ich znowu przeciwko mnie![1]) A więc, a więc, muszę im okazać więcej przyjacielskie oblicze...

I uprzedzając zamiary wrogów, cicho, tajemniczo, zaczął Polaków spowijać swym nieprzepartym czarem i urokiem, jaki szedł od jego bohaterskiej, genialnej postaci. Krótkie, jasne rozkazy wydawał teraz życzliwym głosem:

— Jedź książe do stolicy Polski, i podnoś ufność w moje przedsięwzięcia! — mówił do Aleksandra Sapiehy, krajczyca litewskiego.

— Należy bacznie śledzić stan umysłów w Galicyi! — upominał umyśnych wysłańców.

— Piętnastotysięczna armia polska podąży wnet do Kamieńca Podolskiego! — przekonywał Marcina Tarnowskiego, który przybył do niego w tajemnem poselstwie od Podolan i Wołynian. — Tylko szlachta niech będzie gotowa do ruchu — nalegał uprzejmie — cicho, ostrożnie, niechaj zaopatrzy się w broń i konie, bo chwila powstania bliska, bardzo bliska...

I naród polski ufny, łatwowierny, wpadał znów w nienaturalny zapał i uwielbienie dla dobrego Napoleona, a ciche, lecz ożywione głosy podawano sobie zaraz z ust do ust:

— Słyszeliście co mówił on... wielki cesarz?! A więc do szeregów, do szeregów bracia, już na godziny tylko liczy się czas naszego upadku i poniżenia!...

I szeregi powiększały się, bataliony przemieniały się w wielkie pułki, w Warszawie podnieconej, rozpłomienionej, w lot utworzyła się narodowa gwardya. W pamiętną rocznicę odrodzenia się narodowego (dnia 3-go maja 1807 roku), którą od lat 15-tu obchodzono solennie w kraju i na obczyźnie odbył się w Warszawie świetny obrządek poświęcenia orłów polskich dla wojska; przy końcu tego aktu przeniesiono większego orła uroczyście i zawieszono nad bramą ratuszową na Starem mieście[2]).

Dnia 14-go maja 1807 zaledwie zjawiła się na Śląsku legia włosko-polska, a już rozbiła pod Strzygowem dwa tysiące Prusaków.

— Osiemset jeńców pruskich i zabrane działa! — roz-

[1]) Car Aleksander wezwał z Wołynia do swej głównej kwatery w Tawrogach generała Kniaziewicza i polecał mu znów, aby powołał swych rodaków pod chorągiew narodową w imię dawnych jego obietnic. Kniaziewicz odpowiedział odmownie. — W maju 1807 miał jechać do Wiednia ks. Ant. Radziwiłł z wnioskiem odbudowania Polski za sprawą mocarstw zaborczych. — Wszystkie powyższe szczegóły u Morawsk. VI, 71.

[2]) W rocznicę Konstytucyi 3 maja 1791 r. odbył się ten obrządek bardzo uroczyście w ogrodzie Krasińskich przed dawnym ich pałacem. Po mszy i poświęceniu orłów przemówił ks. Woronicz, późniejszy arcybiskup warszawski, niepośledni poeta. Potem ks. Józef Poniatowski podał młotek, a celebrujący uczony biskup Albertrandy przybił nim pierwsze gwoździe, uczynili to samo po nim prezes Komisyi Rządzącej i inni jej członkowie. Następnie orszak jasnych dziewic poniósł największego orła na Stare miasto. (Morawski, VI, 72).

Czerwony znak.

18) Z włoskiego tłumaczył A. P.

(Ciąg dalszy).

— Kobietę? Widać, że nie znasz pan jeszcze tych ludzi, inaczej musiałbyś wiedzieć, że właśnie kobiety są największemi fanatyczkami i poddawają się rozkazom sprzysiężonych z niezmiernym zapałem. Są one nieustraszone, niebezpieczne, i z pogardą śmierci odważają się na wszystko. Sprzysiężeni cenią je jako najpożyteczniejsze członki związku. Ale tym razem nie ujdą nam ,chociażby się i sam szatan nimi opiekował!

—Cevanci nie uwierzy nigdy, aby ona mogła była popełnić tę zbrodnią!

— Naturalnie, że nie, bo gdyby wierzył, nie byłby nam, nawet za cenę życia niewinnej dziewczyny, zdradził jej adresu.

— Chcesz pan dziś w nocy jeszcze udać się na aleją Haverstok?

— Zapewne, w przeciągu kwadransa jestem w drodze! Poprzednio muszę wydać kilka rozkazów, bo musimy być przygotowani na to, że do domu tego wejdziemy przemocą. Trzeba nam będzie dom cały jak najstaranniej przeszukać.

— Pozwolisz mi pan towarzyszyć sobie?

— Ale my tam zostaniemy zapewne całą noc!

— Cóż to szkodzi! Zanadto jestem niespokojny o Stellę, abym miał teraz wracać do domu! Jeżeli pan pozwolisz, poślę jednego z twoich urzędników do mojej żony, aby nie myślała, że i ja zginąłem. Potem uczynię wszystko, co mi pan każe!

Przez kilka minut wydawał Saint-John rozkazy i dyspozycye, a niedługo potem wyjechały dwie zamknięte dorożki z Scotland Yard. W jednej siedział Saint-John z baronem Ravendale, w drugiej czterech silnych policyantów.

— — — — — — — — — —

Było to bardzo jeszcze wcześnie.

Stella leżała na nędznem, żelaznem łóżku, w obszernym wprawdzie, lecz pustym niemal pokoju. Ręce jej i nogi związane były sznurami, wrzynającemi się w delikatną jej skórę — sprawiało to ból dotkliwy, lecz zmęczona strachem, gorączką i pastwieniem się nad nią Aniola, zamkła teraz oczy i drzemała. Przed kilku godzinami była tu jeszcze owa okropna kobieta i odchodząc rzekła groźnie:

— Za dwa dni najpóźniej wrócimy tu znowu i jeżeli wtedy nic nie powiesz, umrzesz!

Od tej chwili nikt się o nią nie troszczył.

Jak przez sen zauważyła Stella, że dręczycielka jej miała ubranie męzkie i że wyglądała, jak robotnik. Za nią stał Macropulo również w ubraniu robotnika.

— Ja wrócę, — dodała jeszcze kobieta, — a gdybyś w czasie mej nieobecności krzyczała, to stróż twój Pedro ma rozkaz zabicia cię natychmiast.

Stella zacisnęła usta i milczała. Od czasu swego uwięzienia ani jednego jeszcze nie wymówiła słowa.

Wkrótce potem usłyszała na dole trzask zamykanych drzwi i odtąd nic już nie przerywało głębokiej ciszy. Jedna godzina upływała wolno za drugą, nawet jej stróż Pedro nie pokazywał się wcale.

Nagle zadrżała i podniosła głowę. Na dole dało się słyszeć silne pukanie do drzwi — raz i jeszcze raz... Ktoś żądał energicznie otworzenia bramy. Potem zapanowała cisza, lecz po kilku minutach rozległ się przeraźliwy łomot — wybijano ciężkie drzwi siekierami. Czy pomoc dla niej? Stella leżała bez tchu prawie, nie śmiała wie.

legł się okrzyk po bitwie. Dzielnych Legionistów zatrzymał przy sobie we Wrocławiu brat cesarza Hieronim.

— Aby uwiecznić pamięć legii polskich we Włoszech, pomnoży Grabiński tę legię do 6000 piechoty, do 1500 jazdy![1]) — taki rozkaz wydał Napoleon.

Walki toczyły się głównie koło twierdzy gdańskiej, którą oddawna starał się zająć Napoleon, ażeby stamtąd zacząć działać zaczepnie; w walkach tych znakomicie odznaczali się Polacy. Nie pomogla bliskość cara Aleksandra w obozie, nie pomogły miastu nadchodzące odsiecze, Gdańsk po dłuższem oblężeniu poddał się Francuzom dnia 26-go maja 1807 r.[2])

Tymczasem armia rosyjska wzmacniała się coraz bardziej i zaczęła działać zaczepnie. Od kilku miesięcy zanosiło się na zaciętą, krwawą bitwę. Napoleon ruszył na wschód i spotkał się z armią rosyjską pod dowództwem Bennigsena, z którą łączyły się szczątki pruskiego wojska. Po kilkudniowych utarczkach nastąpiła walna bitwa pod *Friedlandem*[3]), w której Rosyanie pobici zostali na głowę i ponieśli ogromne straty. Zginęło w ostatnich dniach 60,000 Moskali. Francuzi zabrali im pod Friedlandem 80 armat, razem w ostatnich dniach utracili 120 dział.

Legia polska pod Dąbrowskim walczyła tu na lewem skrzydle w pierwszej linii pod marszałkiem *Mortier*. Młode wojsko, zaledwie uszykowane, potykało się mężnie obok najcelniejszych pułków francuskich. Szczególnie odznaczył się pułk jazdy, którym dowodził Kazimierz Turno. Napoleon wezwał go przed siebie i wyraził mu wielką pochwałę.

Polacy rozglądali się po pobojowisku.

— A gdzież szczątki pruskiego wojska? — pytali zdziwieni.

Niema ich całkiem, znikły, przepadły, rozwiały się, jakby te fale wichru, jakby ta niedaleka piana morza.... — odpowiadali im Francuzi[4]).

Po tej klęsce Rosyanie cofnęli się za Niemen, a Francuzi zajęli Królewiec i Tylżę. Napoleon wydał rozkaz:

— Dąbrowski z pod Friedlandu a Zajączek od Guttstadtu mają się posunąć do Augustowa![5])

Wchodziły więc polskie zwycięskie wojska do oswobodzonych od Moskali ziem polskich; była stosowna chwila do przywrócenia niepodległości ich kraju, ale Napoleon nie uczynił tego, a Polacy czekali ciągle dalej. W czasie, gdy Prusy tak zgnębione, tak sromotnie rozbite, leżały u nóg zwycięscy i wojsk ich wcale już nie było, a przyszłe ich istnienie zależało teraz od Napoleona i (jak zobaczymy) od próśb za niemi Aleksandra, w czasie, gdy Austrya, odcięta srodze, wzdychała tylko za niepewną chwilą przyszłych klęsk Napoleona, w czasie, gdy pokonany car Aleksander

[1]) Chłopicki został wodzem pierwszego pułku pieszego, Klicki — pierwszego pułku jazdy. — Morawski, VI, 72.

[2]) Odznaczali się już od marca Polacy, szczególnie przy bronieniu szańców naprzeciw *Biskupiej góry* i przy zajęciu wyspy *Holm*. Lądującą już odsiecz moskiewską odparł Downarowicz. Z załogi Gdańskiej zbiegło do Francuzów 4000 będących tam Polaków. Niewinne polskie dawniej miasto złożyło ogromną kontrybucyę. Dowódzca załogi, jenerał pruski Kalkreuth, niegdyś polski indygiena, podziwiał teraz postawę, zapał, patryotyzm i męztwo młodego wojska polskiego. — Morawski, VI. 72.

[3]) *Friedland*, miasto okręg. w pruskiej regencyi królewieckiej nad z. Alle.

[4]) Sokołowski, IV, 1326; Morawski, IV, 73; Lewicki, 385.

[5]) *Augustów*, od r. 1817 miasto stoł. pow. augustowskiego w gub. Suwalskiej nad rz. Nettą, założone 1561 r. przez króla Zygmunta Augusta i od jego imienia nazwane. — Morawski, VI, 74.

---

rzyć, że ktoś ją chce wybawić z tego okropnego więzienia, a jednak...

Teraz usłyszała głosy męzkie — ktoś biegł po schodach na górę i równocześnie poznała głos barona Ravendale.

— Ocaloną! Jestem ocaloną! — szepnęła i osunęła się nieprzytomna na poduszki.

— Zdaje mi się, że to tylko zemdlenie, — mówił baron, pochylając się nad nią. Stella otworzyła oczy i mimowoli podniosła ręce, uwolnione już z więzów. Chciała wstać, lecz sił jej zabrakło.

— Ach, to pan, — szepnęła. — Boże! Myślałam już, że umrę tutaj.

— Zabierz pan ją czemprędzej do domu, — rzekł Saint-John. — Oprócz niej i jakiegoś człowieka, zowiącego się Pedro Franzi, nie ma tu nikogo. Za pół godziny będę u pana, może panna Garcia będzie już o tyle silną, że opowie nam całą tę przygodę.

Baron wziął Stellę jak dziecko na rękę i zniósł ją do stojącej na dole dorożki, a ona z wdzięcznością przycisnęła główkę swoją do jego ramienia. Nie mówiła jednak nic, zdawało jej się bowiem ciągle, że „Anioł" każdej chwili zjawić się może i zabrać ją napowrót do więzienia. Dopiero gdy się znalazła w domu, w objęciach baronowej, uspokoiła się o tyle, że mogła opowiedzieć wszystko, co się z nią działo.

Nagle jednak przyszło jej na myśl, że w portmonetce miała kartkę z adresem Hamiltona. I poznała natychmiast, że to zdradziło sprzysiężonym miejsce jego pobytu, i że „on" znajduje się w niebezpieczeństwie.

— Panie baronie, — zawołała wzruszona — muszę powiedzieć panu coś bardzo ważnego. Przypuszczam, że pan wiesz, gdzie się znajduje doktor Hamilton?

— Tak, — odrzekł baron z uśmiechem, — to jest, wiem tylko, gdzie pewien historyk, Frank Middleton obecnie przebywa. Zdaje mi się, że obydwaj ci panowie są blisko siebie. Pani wiesz o tem również, nieprawda?

— Tak, wiem. Doktor Hamilton bawi pod nazwiskiem Frank Middleton w zamku Vanstone.

— W celu kopiowania napisów na pomnikach Vanstonów! — roześmiał się baron. — Ale tam znajduje się jeszcze ktoś inny, — rzekła Stella tak poważnie, że baron przestał się śmiać. — Jest to Caradini, artysta-rzeźbiarz, ten sam, który wyrzeźbił ów biust dziewczynki, stojący w salonie.

— Ach, i cóż dalej?

— Caradini jest członkiem tajnego związku!

— Nie może być! — zawołał baron z niezmiernem zajęciem.

— Doktor Hamilton i ja jesteśmy jak najmocniej przekonani, że Caradini jest winnym śmierci mego ojca! Jeżeli go może sam nie zamordował, to kazał go zamordować.

— Co pani mówisz! Zkąd możesz o tem wiedzieć?

— Na wyjaśnienie nie ma teraz czasu, później opowiem wszystko! Musimy się spieszyć, jeżeli mamy ratować doktora Hamiltona. On się znajduje w niebezpieczeństwie życia!

Bądź pani pewną — odrzekł baron, — że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby mu spieszyć na pomoc. Saint-John przybędzie tu za chwilę aby się przekonać, czy pani jesteś dosyć silną na opowiedzenie mu tego, co cię spotkało. Możesz mu potem wyjaśnić wszystko szczegółowo i uradzić dalsze postępowanie.

Stella z niecierpliwością czekała na przybycie Saint-Johna. Baron był również niespokojny, tak, że nie poszedł nawet do ministeryum. Został w domu, chociaż starał się rozproszyć strach i niepokój Stelli, to sam jednak był pe-

słał do Napoleona z błaganiem o zawieszenie broni, Polacy, zamiast skupić się w sobie, w swej własnej sprawie domowej wystąpić samodzielnie, energicznie pod własnym zarządem, nie być powolnem narzędziem obcych, lecz, korzystając z pory, zgnębionym zaborcom kazali liczyć się z sobą — czekali ciągle, oglądali się na kogoś, a patrzyli jak w bóstwo, jak w gwiazdę w Napoleona, który myślał tylko o sobie.

Skutkiem zwycięstwa pod Friedlandem był pokój w *Tylży.* W pięć dni po tej bitwie zwycięskiej, gdy przednia straż francuska stanęła w Tylży zgłosił się do Murata parlamentarz[1]) rosyjski z prośbą o zawieszenie broni i uzyskał odpowiedź przychylną. Napoleon bowiem, zdobywszy całe państwo pruskie i kilka razy pobiwszy wojska rosyjskie, pragnął szczerze pokoju. Myśli i plany o niespokojnej Hiszpanii, o utrwaleniu dotychczasowych nabytków, o upokorzeniu Anglii, wiły mu się po głowie.

— Tylko w porozumieniu się z Rosyą — układał sobie — mogę przeprowadzić moje plany! Ona, choć pokonana, lecz nie złamana, może mi przeszkadzać, może nawet z Anglią wchodzić w układy przeciwko mnie! A więc rozdzielę te dwie potęgi wrogie dla cesarskiej Francyi, jednę pozyskam, a drugą wyrzucę za morze i nie dam jej wichrzyć na stałym lądzie... oto mój cel[2])! A Polska?

— Ach, Polska... — dodał, jakby odczepiając się od tej natrętnej myśli — i dla niej coś zrobić się musi...

Dnia 25 czerwca 1807 r. pod *Tylżą*[3]), na promie w środku rzeki Niemna, w namiocie zbudowanym na łyżwach, zjechali się obaj cesarze, Napoleon i Aleksander. Tam podali sobie ręce i tam umówili warunki pokoju, do którego i król pruski musiał później przystąpić.

— Tylko przez wzgląd na cesarza Rosyi — mówił Napoleon — zezwalam na zwrócenie królowi pruskiemu krajów jego z tej strony Elby, ale z wyjątkiem ziem polskich w różnych czasach po roku 1772 zabranych!

Czyli istnienie dalsze państwa pruskiego miał zawdzięczać król pruski tylko prośbom Aleksandra, a do tego miał je okupić wielkiemi ofiarami.

W czasie obrad przybył do Tylży od Komisyi rządzącej Stanisław Kostka Potocki. Potajemnie zjawiła się też deputacya od Litwy. Ale odepchnął ją cierpko szef sztabu cesarskiego, marszałek *Berthier*.

— Czego chcą ci buntownicy?! — zawołał szorstko.

— Najjaśniejszy Panie — wstawiał się za nią *Davoust* — to deputacya od Litwy...

— Litwa, wiem, tam silne wrzenie[4]) — odpowiadał Napoleon. — Ale panie marszałku, czy nie widzisz przyjaźni mojej z cesarzem Aleksandrem[5]), czy nie wiesz, jaki

[1]) *Parlamentarz*, z franc., wysłaniec od jednej strony wojującej do drugiej w celu układów.

[2]) Sokołowski, IV, 1326.

[3]) *Tylża*, (niem. Tilsit) miasto powiat. w obwodzie regencyi Gumbińskim, nad Niemnem.

[4]) W razie możebnej wojny Aleksander lękał się tego silnego wrzenia na Litwie. Panował tam ruch ogromny, odezwy Dąbrowskiego i Wybickiego przelatywały po szlacheckich dworach, listy prywatne z wiadomościami biegły z Warszawy i Poznania, kilkanaście tysięcy młodzieży z Litwy i Wołynia było już w szeregach polskich.—Limanowski, 52.

[5]) W pierwszem widzeniu się cesarzy w Tylży, Napoleon ujął i zachwycił sobą Aleksandra. Może nie być dziwną ta nagła przyjaźń cara z takim geniuszem. Ale nawet w Rosyi zapytywano się często:

— Co za interes ma Aleksander w tej przyjaźni z Niemcami i w tem ciągłem ich bronieniu? — Limanowski, 51.

---

wien, że Hamiltonowi wielkie grozi niebezpieczeństwo. Wyrzucał sobie teraz to, że ułatwił Hamiltonowi wyjazd do Vaustone, że nie starał się zatrzymać go w Londynie, lecz umiewinniał się sam przed sobą tem, że nie widział, po co doktor do Vaustone jechał.

Nareszcie przybył Saint-John.

Zaledwie Stella opowiedziała mu historyą swego uprowadzenia, wysłał natychmiast telegram do urzędnika policyi w Staines. Czy słowa Stelli wywarły na nim jakie wrażenie, tego nie można było wiedzieć, ale twarz jego miała wyraz nadzwyczaj poważny.

— Wolałbym zaraz jechać sam do zamku Vaustona,— rzekł nagle. — Nie będę już czekał na odpowiedź! Każ mi pan posłać po dorożkę, — zwrócił się do barona, — mam jeszcze dosyć czasu. Pociąg wychodzi z dworca Vaterloo o dwunastej!

— Pojadę z panem, — zawołał baron stanowczo.

Stella nie śmiała prosić, aby i ją zabrano, wiedziała bowiem, że ani baron, ani Saint John nie zgodziliby się na to. Ale gdy obydwaj panowie wyjechali, wybiegła z domu, wskoczyła do pierwszej lepszej dorożki, kazała się zawieść na dworzec, i zaraz potem stanęła przed zdumionym baronem.

— Ależ panno Stello... — zaczął baron zachmurzony.

— Daj pan pokój, — przerwał Saint John, — może to i lepiej, że panna Garcia pojedzie z nami. Zna ona tego Caradiniego, albo Henryka Poiton lepiej, jak my, niech więc jedzie!

Macropulo tymczasem i Aniela, którzy w Vaustone w ubraniu robotników, od dwudziestu czterech godzin nieustannie obserwowali Hamiltona i Caradiniego, układali teraz plany, w jakiby sposób nietylko usunąć na zawsze człowieka, który widocznie znał ich tajemnice i stał w styczności z policyą, ale nadto zmusić go, chociażby przemocą, do wyznania tego, o czem wiedział. Było to koniecznie potrzebnem nietylko ze względu na ich bezpieczeństwo osobiste, ale i dla uniknięcia zamieszania w kołach spiskowców. Hamilton mógł, będąc wolnym, sprowadzić im policyą na kark i zgotować im największe nieszczęście, tego więc musieli bezwarunkowo uniknąć. Wszystkie mądrze obmyślone i ułożone plany miały iść na marne z powodu tego jednego człowieka? Nigdy!

ROZDZIAŁ 23.

Gdy Hamilton tak niespodziewanie ujrzał przed sobą twarz Anioła, skamieniał po prostu z przerażenia. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Blada twarz kobiety wydawała mu się czemś strasznem i nieludzkiem, a kilka kropli krwi, jakie z jej czoła spływały z powodu zadraśnięcia skorupką szklanki, wydawały mu się całem morzem krwi!

Za nią ukazywała się mniej okropna twarz Macropula, uśmiechnięta szyderczo, lecz pogodna jak zawsze.

Hamiltonowi nie zostawało dużo czasu do namysłu. Jak rozjuszona pantera skoczyła Aniela do niego, a siła stu szatanów zdawała się być złączoną w tej słabej na pozór istocie. Hamilton był także silnym, lecz ona uchwyciła jego ramiona z tyłu z taką mocą, że o wydobyciu się z jej rąk ani mowy być nie mogło. Równocześnie rzucił się i Macropulo na pomoc, i zanim Hamilton zrozumiał, o co właściwie chodzi, leżał już na ziemi bezwładny, oddany na łaskę i niełaskę okropnych tych ludzi.

Aniela objęła teraz szyję jego swemi długiemi, żelaznemi palcami i szepnęła tym razem po angielsku:

— Jeden krzyk, jedno słowo, a uduszę cię natychmiast!

Macropulo związał tymczasem ręce doktora mocnym rzemieniem, który miał w kieszeni, potem nogi i następnie

on w układach powolny dla mnie, jak na wszystko, czego ja chcę, przyzwala![1])

Lecz Napoleonowi — żołnierzowi stanęły nagle w myśli te dzielne pułki *legii północnej* i *polsko-włoskiej*, zwanej *nadwiślańską*, a szczególnie ten świetny pułk jego przybocznej polskiej gwardyi konnej. Więc rzekł ciszej:

— Naturalnie, dla samego honoru coś zrobimy dla Polski...

I w czasie kilkunastodniowych układów rozprawiano o tej nieszczęśliwej Polsce; Napoleon chciał stworzyć *królestwo*, lub choćby *księstwo polskie*, Aleksander wolałby jeszcze wojnę toczyć o ten kraj; śmiertelni wrogowie Polski, żyjący dotąd z obfitych jej ziem, nawet imienia „Polska“ słyszeć nie chcieli. Postanowiono wreszcie z zaboru pruskiegi utworzyć nie *Polskie Królestwo*, nawet nie Polskie Księstwo ale tylko *Księstwo Warszawskie.*

A utworzone zostało to *Księstwo Warszawskie* z owych zatrzymanych przez Napoleona ziem polskich, które Prusy zabrały Polsce w różnych czasach po roku 1772, czyli w drugim i trzecim rozbiorze, a więc z *Prus południowych, Nowo-Wschodnich i części Zachodnich.* Ale jeszcze z tych ziem wyłączył Napoleon zajęte przez Rosyę Białystok z Bielskiem, czyli północne Podlasie, a także okręg dotykający ujścia Łosośny i Bobry z ludnością 400,000 dusz i ofiarował je tejże Rosyi, a zarazem ubezpieczył jej dawne zabory Polski[2]).

To Księstwo Warszawskie otrzymało według brzmienia traktatu konstytucyę,

„która wolność i przywileje ludów tego Księstwa zabezpieczy i zgadzać się będzie ze spokojnością ościennych krajów“[3]).

Napoleon dawał to nowe Księstwo Warszawskie *na własność* królowi *saskiemu*, świeżo do godności wyniesionemu elektorowi, *Fryderykowi Augustowi*, który niedawno przystąpił był do Związku Reńskiego (w grudniu 1806 roku). A osoba króla saskiego i ta nazwa nowego Księstwa zdawały się w opinii układających dogadzać obu stronom interesowanym.

— O cóż chodzi? — uspokajał Napoleon chmurnego Aleksandra — to księstwo Warszawskie jest tylko prowincyą saską!

A rozczarowanych Polaków myślał pocieszać:

— No, przecież daję wam tego samego zacnego Fryderyka Augusta, którego wraz z potomstwem sami, ustawą z 3-go maja r. 1791 powołaliście na dziedziczny tron polski!

[1]) Morawski, VI, — Tak mówił Napoleon, jakby udawał, bo właśnie poświęcając Polskę okupywał tę przyjaźń z carem, który uznawał Józ. Bonapartego królem neapolitańskim, Ludwika holenderskim, Hieronima westfalskim, (które to królestwo utworzone zostało z odstąpionych przez Prusy prowincyi niemieckich między Renem a Elbą) i który przyjmował system kontynentalny przeciw Anglii. — Sokoł., IV, 1326.

[2]) Morawski, VI, 75.

[3]) Lewicki, 386.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

zwrócił się z Anielą ku Caradiniemu, pogrążonemu zawsze jeszcze w głębokim śnie.

Macropulo i Aniela zaczęli żywo półgłosem rozmawiać po włosku, a obojętność ich na to, czy Hamilton ich rozumie, czy nie, najlepszym była dowodem, jak pewnymi byli swej ofiary.

— Zapewniam cię — mówiła Aniela, pochylając się nad śpiącym — że to jeden z naszych.

— Jest on uśpiony?

— Tak, a nadto zachloroformowany. Patrz!

Podniosła rękaw i czarny trykot i wskazała na czerwony znak na ramieniu.

— Na miłość Boską — zawołał Macropulo — kto to może być?

— Ja się domyślam! A ty nie?

— Przecież nie numer piąty!

— Naturalnie, że numer piąty! Wszakże on mieszka obok niego w Londynie, na tej samej ulicy! Dzięki Bogu, że mamy tego zdrajcę!

— Cóż zrobić z nim?

— Przedewszystkiem zwiążemy go, to jest najpewniejsze.

Gdy Macropulo wypełniał rozkaz Anieli, westchnął Caradini i poruszył powiekami, lecz nie otworzył oczu. Znajdował on się zawsze jeszcze pod wpływem chloroformu.

Teraz szepnęła Aniela coś swemu towarzyszowi do ucha, ale tak cicho, że Hamilton nie zrozumiał ani słowa. Leżał jak kłoda drzewa, niezdolny ruszyć się, i nie mógł nawet myśleć o tem, co dalej będzie.

Macropulo widział z ukrycia, w jaki sposób pułkownik podniósł płytę, zakrywającą wejście do grobowca, a zresztą znał on dobrze takie tajne zamki, czego dowodem było zejście do podziemnego ganku w jego domu! Z pomocą Anieli położył nieprzytomnego Caradiniego na płytę i oboje spuścili się z nim na dół, przekonani, że ze strony Hamiltona żadne im nie grozi niebezpieczeństwo.

Hamilton odwrócił głowę, pomimo, że każdy ruch sprawiał mu wiele trudności. Przeczuwał on — nie, wiedział teraz napewno, co go czeka. Tam na dole, bez świadków, odbędzie się sąd nad nim, i prawdopodobnie nad Caradinim także, którego wynik był, przynajmniej o ile to jego tyczyło, zupełnie jasny. Spuszczą go tam również na dół, zatrą tutaj wszelkie po nim ślady, i zanim kto zauważy jego nieobecność, już będzie wszystko skończone! Chociażby nawet kto i rychlej chciał go szukać, ratunku by dla niego już nie było, bo nikomu nie przyszłoby na myśl szukania go w grobowcu. W przeciągu pół godziny, gdy robotnicy przyjdą na robotę, nie będzie tu ani śladu strasznej zbrodni!

Lecz podczas gdy myśli te lotem błyskawicy przebiegały mu po głowie, padło spojrzenie jego na rapier Caradiniego, który posunięty wczoraj nogą artysty, leżał o kilka kroków dalej. Nikt tu nie zauważył tej ostrej broni.

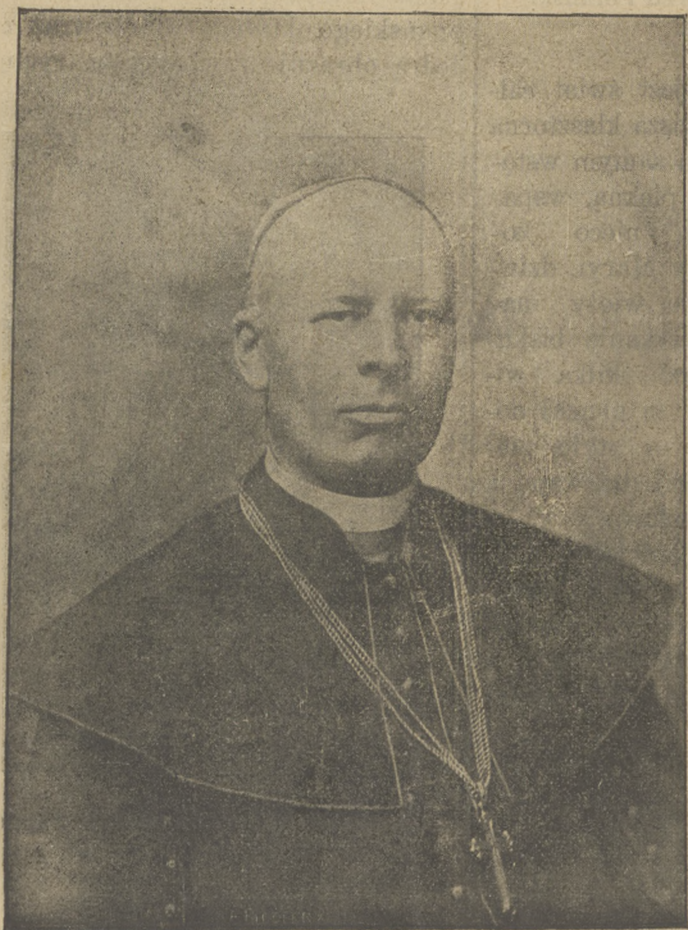
Z nadludzkim niemal wysiłkiem wyprężył Hamilton całe ciało w górę i rzucił się znowu napowrót. Tym sposobem zdołał się zbliżyć do rapiera. Rzemień wrzynał mu się głęboko w ciało, ale rozpacz dodawała mu odwagi i siły. Po kilku podobnych poruszeniach był tak blisko broni, że mógł już położyć się na bok i trzeć rzemień u rąk o ostrze jej, a że broń bardzo była ostrą, a rzemień cienki, przeto w kilku sekundach miał ręce wolne. Jeszcze jedno cięcie rapierem i nogi były oswobodzone z więzów.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z chwili bieżącej.

Wybór kandydatów na osierocony tron arcybiskupi w Poznaniu. *)



Ks. biskup dr. Edward Likowski z Poznania.



Ks. biskup Antoni Andrzejewicz z Gniezna.

Członkowie kapituł poznańskiej i gnieźnieńskiej zjadą się dnia 16-go b. m. do Gniezna, by wybrać sześciu kandydatów na osierocony tron arcybiskupi i wybór ten przedłożyć królowi pruskiemu do potwierdzenia lub też odrzucenia.

Kandydaci postawieni powinni według odnośnych przepisów „nie być niesympatyczni monarsze''. Jeżeli monarcha z dwa razy prezentowanej mu listy nikogo nie potwierdzi, wówczas następuje wybór arcybiskupa jedynie za porozumieniem się Papieża i monarchy tak, jak się działo przed laty 15-tu przy oborze ś. p. zmarłego Arcybiskupa.

Skład kapituł poznańskiej i gnieźnieńskiej jest następujący:

Kapituła poznańska,

biskup

1. Dr. Likowski Edw.

kanonicy zwyczajni

2. Dalbor Edmund
3. Dombek Piotr
4. Echaust Julian
5. Jedzink Paweł
6. Klinke Karol
7. Meszczyński Wład.
8. Tetzlaff Teofil
9. Wanjura Gustaw
10. Weimann Robert

kanonicy honorowi

11. Friske Marcin
12. Poniński Alfred
13. Samberger Robert
14. Dr. Tasch Józef.

---

*) Zamierzaliśmy Szanownym Czytelnikom dać portrety wszystkich poniżej wymienionych kanoników i w tym celu udaliśmy się do nich z prośbą o nadesłanie nam fotogtafii, otrzymaliśmy jednakże tylko fotografie od tych księży kanoników, których podobizny smieszczamy. – Przyp. Red.

Kapituła gnieźnieńska

biskup

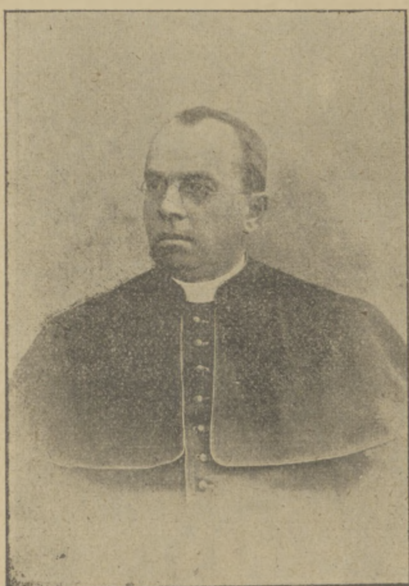
1. Andrzejewicz Ant.

kanonicy zwyczajni

2. Dorszewski Kaźmierz
3. Goebel Roman
4. Jasiński Wiktor
5. Kloske Gwilelm
6. Kretschmer Leon
7. Spors Jan.

Administratorami aż do wyboru nowego arcybiskupa są, jak wiadomo: w Poznaniu dla dyecezyi poznańskiej ks. biskup dr. Edward Likowski, a w Gnieźnie dla dyecezyi gnieźnieńskiej ks. kanonik Kazimierz Dorszewski.

Nad kandydaturą przyszłego arcybiskupa łamią sobie Niemcy głowę. Między innemi „Taegliche Rundschau“ donosi, że kapituła poznańska postawiła na liście kandydatów: ks. biskupa Likowskiego, ks. kanonika



Ks. kanonik Gwilelm Kloske, regens seminaryum w Gnieźnie.

Waniurę i ks. kanonika Klinkiego. Berlińska „Illustr. Ztg.“ zamieściła nawet podobiznę ks. kanonika Klinkiego jako portret przyszłego arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Zamiast łamania sobie głowy nad kandydaturą przyszłego arcybiskupa, wolimy na razie zaprowadzić Czytelnika do osieroconej siedziby arcybiskupiej na „wyspę tumską.“

„Wyspą tumską“ zowie się ta część Poznania, na której wznosi się wspaniała nasza, starożytna katedra, a w pobliżu jej pałac arcybiskupi. Małe to państwo kościelne graniczy na Zachód z rzeką Cybiną, przez którą żelazny most wiedzie na Śródkę, najstarszą część Poznania, na Wschód dzieli je od Chwaliszewa starożytny most kamienny.

W tej więc okolicy leży „wyspa tumska“. Nie widać tam ani małych domów przedmiejskich, ani pięknych kamienic nowych dzielnic, ani ruchu i gwaru ulicznego, jaki tętni w śród-



Ks. prałat kanonik Alfred Poniński z Kościelca.

kowem mieście. Tam jest świat całkiem inny, poważny, a cisza klasztorna otacza przechodnia. Na samym wstępie widzimy wyniosłą, piękną, wspaniałą katedrę, dalej nieco kościół Najświętszej Panny Maryi, dziwnie zbudowany, bo niema wieży i następnie konsystorz, mieszkanie biskupa, kilka kanonii oraz kilka wikaryatów. Wszystko to są niemal domy starożytne, w starym stylu, zakryte latem odwiecznemi drzewami i zielenią obszernych ogrodów.

Na placu pomiędzy kościołem Najświętszej Panny Maryi a tumem wznosi się pomnik Jana Kochanowskiego oraz piękna figura Matki Boskiej.

Liczne wspomnienia przeszłości

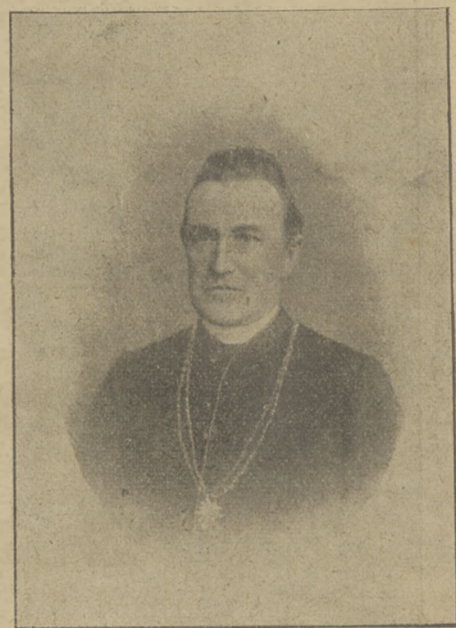


Ks. kanonik Jan Spors z Gniezna.

wiążą się z temi domami, ale byłoby zbyt obszernem rozpisywać się tu nad niemi, nadmieniam tylko o tem, o czem nie każdy może wie. to jest, że w roku 1806 miał w domu jednego z prałatów przebywać dłuższy czas król Murat i wydawać tamże wspaniałe uczty dla szlachty polskiej.

Dziś wszystko naturalnie uległo wielkiej zmianie. Naprzeciwko mostu tumskiego sterczą mury forteczne, dawniejszy ruch ustał tutaj zupełnie, i gdyby nie dzwonek kolei elektrycznej, gdyby nie tłumy pobożnych, spieszących w dnie świąteczne do kościoła, to niktby nie uwierzył, że znajduje się w stolicy Księstwa Poznańskiego, w mieście bardzo ożywionem i handlowem.

Na stronie południowo-zachodniej tumu, oddzielony tylko ulicą od tegoż, wznosi się skromny, ale obszerny dom. Dziwnie każdemu obcemu podpada brak okien od strony ulicy. Jest to pałac Arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego, którego widok wraz z katedrą obrazuje zamieszczona rycina.



Ks. kanonik Robert Samberger z Gniezna.

* * *

Bogumił Labusch,

kandydat z Mazur na posła do parlamentu niemieckiego.

Bogumił Labusch urodził się 1860 roku, w *Rumach* (Rumy) pow. szczycieński. Objął z żoną gospodarstwo, na którem sumiennie pracując dorobił się majątku. Teraz posiada 200 morgów gruntu i dobrze zaprowadzoną mleczarnię w Hozambarku (Haasenberg. Żona z domu Piątka. Dzieci pięcioro (jeden syn).

Czytanie różnych polskich gazet spowodowało go do założenia Mazurskiej Partyi Ludowej przed wyborami 1898 r.

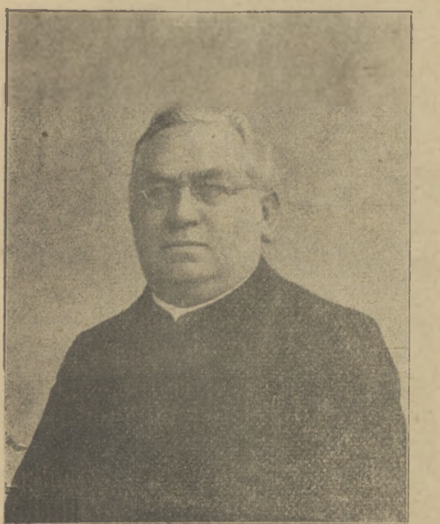
Wtedy zgłosił się do niego p. Zenon Lewandowski z Poznania. M. P. L. postawiła Labuscha na kandydata. Lewandowski kandydował 2 razy, ale

Mazury życzyli sobie swojego, więc pan L. zrzekł się kandydatury na korzyść kandydata, którego stawi M. P. L. Tym kandydatem jest p. Labusch.

Tułacze.*)

Było to w przededniu wigilii Bożego Narodzenia 1777-go r., tego narodowego święta, o którem żaden Polak nie zapomina.

Pułaski ze swoim oddziałem stał naówczas w Trenton, małem miasteczku, które od Pensylwanii dzielił tylko rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, pełna szczerb, a mimo to przeskakująca przeszło tysiąc stóp szerokiej wody.



Ks. Dr. kanonik Tasch z Leszna.

Nadchodzące dni świąteczne Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, poddały myśl urządzenia polskiej wilii. Taił się z tem w początkach, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego, Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomódz chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko mów.

— Jutro wigilia Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę: mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach... kraj nam się przypomni...

— A niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiesz? A bez opłatka, co to będzie za wilia. Niema wilii bez niego, to darmo!

Naprożno łamali głowę... zgodzono się jednak bądź co bądź zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski...

Snop!... Miły Boże... skąd tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzie żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko, aż do lnu i tatarki?... bo w snopie na wilię nic nie powinno brakować.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało.

Maciej Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilia odprawić...

II.

Szło tylko o opłatek.

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić, lub ominąć, niedostatek opłatka był niewynagrodzony... On jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilią całą, bez niego wieczerza na sianie — tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz Francuz, który tam w kapliczce Mszę św. dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na koń, aby pobiedz do księdza. Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym, widocznie podróżującym mężczyzną. Rysy jego niepiękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol — uderzony i strojem i twarzą — natychmiast konia powstrzymał. Podróżny siedział na koniu objuczony i miał przewodnika. Wszystkich już w okolicy znał Karol, ten widocznie był gościem z daleka.

Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku:

— Czy znajdę w Trenton brygadyera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału; lękam się, by nie był na wyprawie jakiej.

Karol, po wymowie pytającego, poznał w nim cudzoziemca, serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się, jak bracia rodzeni.

— Jadę od granicy Kanady — rzekł podróżny, umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko...

— O słyszeliśmy już o was. Jakże generał rad wam będzie... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta.

— Ach, nie wiesz — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!...

Spotkanie najbliższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych ale krwią i duchem braci... Stali dosyć długo, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzyć sobie.



Widok katedry i pałacu arcybiskupiego w Poznaniu.

*) Znakomity powieściopisarz J. I. Kraszewski napisał kilkotomowe dzieło wielkiej wartości p. t. „Tułacze", w którem opowiada dzieje kilku pokoleń, w różnych czasach na tułaczkę skazanych. W pierwszym tomie mówi o konfederatach barskich, w Ameryce ze swym wodzem Kazimierzem Pułaskim na tułactwie będących, po niepomyślnem zakończeniu tej konfederacyi. Znajdował się tam podówczas i młody Kościuszko, przybyły, aby walczyć za niepodległość Stanów Zjednoczonych, a spotkanie ich nastąpiło w Wigilią Bożego Narodzenia. Kraszewski opisuje to tak zajmująco, iż zapewne nasi Czytelnicy chętnie zaznajomią się choć z urywkiem tego pamiątkowego dzieła. (Przyp. Red).

III.

Tak owa wilia Bożego Narodzenia stała się podwójnym dniem uroczystym. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział jak ugaszczać i przyjmować.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacyi, o starych i nowych sprawach.

— Słuchaj, mój Rogowski — rzekł Pułaski wieczorem, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa dobrze przyjmować, a jeszcze taki gość! nasz! Polak! Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

Panie generale — rzekł Rogowski — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki... to post i wilia.

— Wilia! a prawda — rzekł smutnie Pułaski.

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i, pożegnawszy, wracano znów. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z nich był rodem z innego kąta szerokiej ziemi polskiej, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko, Litwin z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu znakomitych ludzi owego wieku.

IV.

Rogowski namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go zwyczajem polskim na wieczerzę. Obaj przyklasnęli tej myśli. Dzień zeszedł szybko, poszli oglądać okolicę, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo mówili o Wiśle i Bugu.

Nareszcie przyszedł wieczór... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd... był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wbiegł do ogródka, po którym przechadzali się wodzowie i, uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole.

— A! wieczerza! Tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów, co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza, owa wilia braterska, uczta święta, ale co Bóg dał... chodźmy.

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał, jak zwykle na górę. Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski. — Cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol.

W tem drzwi murzyn otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto, okryty białym obrusem, pod którym siano domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Pułaski, jak olśniony, stanął w progu, zobaczył najprzód na talerzu opłatki, odwrócił się więc do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu — zawołał rozrzewniony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce.

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton — rzekł cicho.

Milczący, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, łamali się tułacze chlebem życia, a myśl ich i serce biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół.

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał, zastępowała go polewka. Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru; murzyn ów, czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z *patatami* (kartofle) i smażone z kapustą palmową, wybornie się udały.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wigilii naszej wyciągania z pod obrusu siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pułaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tem sianie amerykańskiem były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego łodydze parę tylko listków zielonych zostało.

Rogowski dobył kiść bardzo długą, na końcu jej grono nasionek przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłymi.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując uciętą gałązkę o liściach laurowych.



Bogumił Labusch z rodziną, kandydat z Mazur na posła do parlamentu niemieckiego.

Śmieli się wszyscy, niewiele do tego przywiązując znaczenia, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! Daj Bóg, byś je zbierał. Mnie się dostało coś zeschłego, jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie...

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta i każdy poszedł nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi.

J. I. Kraszewski.

W rozterce.

Na niebie gaśnie słońca tarcza złota —
Ostatnie nikną purpurowe zorze — —
Więc wszystko ginie, a jedna tęsknota
I ból są-ż wieczne? — — — Boże, o Boże — — —

Oto spoglądam jak się ród człowieczy
Pnie próżno w wyże, jak z łzą krwawą w oku
W daremnej walce ginie i złorzeczy,
Żeś Ty go wyrwał z nieistnienia mroku.

Lecz próżno patrząc w pociemniałe nieba
Pytam: „O Panie! czy nie słyszysz ludu,
„Jak ginąc w nędzy bez jutra, bez chleba,
„Woła ku Tobie wśród znoju i trudu?

„Przecz-żeś Ty, Panie, wydał go na mękę
„I rzucił nocy na pastwę bez końca?
„Przecz-żeś Ty nad nim zwiesił gniewną rękę
„I każesz konać w niemocy, bez słońca?“ — — —

A wtem z oddali z fioletów mroczy
Wizja się jakaś promienna wynurza
I jakby widzą zdumione me oczy
Rozpiętą postać na Krzyżu wśród wzgórza

I przez powstały razem blask i ciszę
Od Krzyża ku mnie wyciąga się ręka
I głos przesmutny, rozżalony słyszę:
— „Ażali mniejszą Moja była męka?..“

Józef Trawiński.

Z ojczystych stron.

Grodno.

Z hukiem i zgrzytem przebiega pociąg, po wspaniałym moście, rzuconym na Niemnie, a ty podróżniku, wpatrzywszy się w srebrne wstęgi rzeki malowniczo wijącej się wśród szmaragdowych wybrzeży, pokiwasz z politowaniem głową i szepniesz: „Jakże marnie wygląda to świetne niegdyś Grodno!“ Oczy twe błąkają się wśród domków przedmieścia, skromnie wychylających się z bukietów zieleni, szukasz dawnych fabryk, pałaców, oglądasz się na pola, gdzie niegdyś wrzało, huczało gorączkowe życie — ale napróżno, cicho i biedno wszędzie; jedynym dowodem jakiegoś życia handlowego są liczne płyty z drzewem, sunące powoli po lśniącej w blaskach zachodu rzece. — O założeniu Grodna niema pewnych wiadomości.



Ogólny widok Grodna.

Pierwszą wzmiankę o Grodnie, jako stolicy udzielnej włości, znajdujemy w latopisach ruskich z roku 1128.

W 1241 drewniany gród, czyli zamek, w którym mieszkał książę Jerzy, syn Hleba, słowiańsko-ruskiego rodu, panując nad okoliczną krainą, zdobyty i zburzony został przez Kajdana, jednego z tatarskich wodzów Osatego. Książę poległ w bitwie, okolice zupełnie spustoszone były. W tymże roku Grodno przeszło w posiadanie Litwy; ks. litewski Erdziwiłł, syn Montwiłła, a synowiec w. ks. Mendoga, zbudował tu nowy zamek. Książęta haliccy wraz z Tatarami usiłowali odebrać zamek w r. 1278, ale im się to nie udało.

Krzyżacy, pod dowództwem Konrada Thierberga po raz pierwszy oblegli Grodno (Gartenę) w r. 1284, zdobyli miasto i wszystko w około spustoszyli.

Napady Krzyżaków, powtarzały się kilkakrotnie. Od r. 1385 zamek grodzieński pozostawał w posiadaniu ks. litewskiego Witolda, nadał mu go Władysław Jagiełło. Gdy się bracia poklócili, Władysław Jagiełło, na czele wojska koronnego, zdobył Grodno w r. 1390. Witold korzystając z wyprawy na Litwę — Konrada Wallenroda, odebrał je w r. 1391, a wkrótce potem nastąpiła zgoda między powaśnionymi. W dalszym ciągu panowania swego, Władysław Jagiełło prawie Grodna nie opuszczał. Tu w r. 1418, odbyły się zaślubiny Witolda z trzecią żoną, Julianną.

Świdrygiełło, objąwszy po Witoldzie rządy, często w Grodnie przebywał. Tu w. ks. Kazimierz Jagiellończyk po zgonie Władysława III pod Warną, przyjmował poselstwo polskie, ofiarowujące mu koronę polską, tu też i umarł.

Zygmunt I często Grodno odwiedzał, a syn jego Zygmunt August, gdy został królem, odbył tu w r. 1568 sejm litewski, na którym nadał wiele swobód i usposobił Litwę do przyjęcia ostatecznej unii z Polską w r. 1569 w Lublinie.

Stefan Batory najczęściej w Grodnie przebywał i tu w r. 1586 umarł.

W r. 1655 za Jana Kazimierza, Grodno przez wojska rosyjskie spalone zostało, ale wkrótce na nowo odbudowane, do dawnej świetności wróciło.

Za króla Michała w r. 1673 postanowiono, żeby się w Grodnie trzeci sejm z kolei odprawiał; pierwszy sejm odbył się w r. 1678 za Jana III, na którym król zaprzysiągł traktat andruszowski i przedłużenie pokoju z carem Teodorem Aleksiejewiczem. W ro-

ku 1705 nastąpił tu zjazd króla Augusta II z Piotrem Wielkim, jako sprzymierzeńcem.

I Szwedów w Grodnie nie brakło, Karol XII działając przeciw Augustowi, zajął miasto w r. 1708.

Na sejmie grodzieńskim, w r. 1726 postanowiono nowy zarząd w Kurlandyi, przyłączając ją na zawsze do korony polskiej.

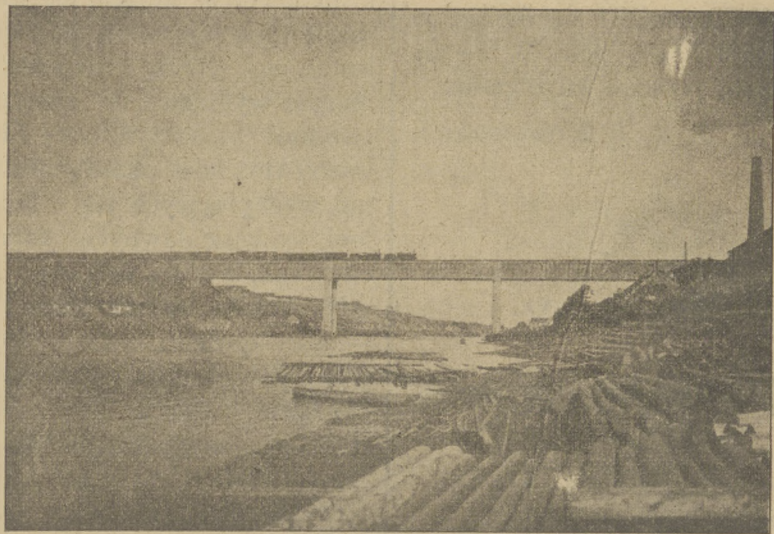
O ostatnim sejmie w Grodnie r. 1793, tak pisze Smoleński w „Dziejach narodu polskiego“ (wydane w Warszawie). „Uczestniczyło w nim zaledwie dwunastu senatorów i stu dwudziestu posłów. Na pierwszej sesyi, w myśl Sieversa, wybrany został na marszałka sejmowego Stanisław Bieliński, cześnik koronny, poseł warszawski, znany na bruku stołecznym z marnotrawstwa i rozpusty. Postanowiono, by obrady odbywały się bez arbitrów, przy drzwiach zamkniętych. Wywołało to wielki protest, w końcu jednak sejm zezwolił na usunięcie arbitrów, których marszałek Bieliński z izby wydalić kazał. Wytrwalej zwalczała opozycya żądania dworów, w sprawie traktatów podziałowych.

Sievers przedstawił projekt traktatu podziałowego; na żadne zmiany w nim nie zezwolił i 22 lipca podpisano traktat, ustępujący Rosyi ziemie, objęte publikacyą okupacyjną. Ratyfikacya traktatu ze strony sejmu nastąpiła 17 sierpnia r. 1793. W ostatniej chwili układów z Sieversem, zgłosił się do sejmu Buchholtz, z żądaniem wyznaczenia delegacyi do traktowania o rozbiór z Prusami. Sejm wystosował notę do Sieversa, upraszając, aby imperatorowa osłoniła rzeczpospolitą przed uroszczeniami Fryderyka Wilhelma. Sievers wstrzymywał się od energicznego poparcia Buchholtza dopóty, dopóki sejm nie ratyfikował traktatu z Rosyą. Po ratyfikacyi d. 1-go sierpnia, szedł już z Buchholtzem ręka w rękę.

Przed sesyą 2-go września, zawiadomił marszałka wielkiego litewskiego Tyszkiewicza, że wprowadzi na dziedziniec zamkowy wojsko rosyjskie z armatami; obstawi okna i drzwi, prowadzące do sali obrad. Zapowiedział przytem, że sesya nie będzie odroczona dopóty, dopóki sejm nie upoważni delegacyi do podpisania traktatu rozbiorowego z Prusami.

Zapowiedź Sieversa wykonana została dosłownie. Sejm upoważnił delegacyę do podpisania traktatu podziałowego z Prusami, zastrzegł jednak, że ratyfikacya nastąpi dopiero po zawarciu umowy handlowej i zagwarantowaniu jej przez Rosyę. Buchholtz zaprotestował. Wystąpił z notą, że dwór jego żąda natychmiastowego podpisania traktatu rozbiorowego i ratyfikacyi, bez umowy handlowej. Notę posła pruskiego poparł znowu Sievers.

Żądania te wywołały sesyę sejmową z 23-go września, zwaną niemą. Po kilkunastogodzinnem milczeniu izby,



Most na Niemnie.

marszałek, kazał odczytać projekt upoważnienia delegacyi do podpisania traktatu rozbiorowego z Prusami bez umowy handlowej. Na trzykrotne zapytanie marszałka o zgodę — nie odezwał się nikt. Józef Ankwicz, poseł krakowski, zakonkludował, że milczenie izby uważać należy za jednomyślne przyjęcie projektu. W taki sposób delegacya sejmowa umocowana została do podpisania traktatu podziałowego z Prusami bez żadnych zastrzeżeń. Dnia 25-go września r. 1793, delegacya zrzekła się na rzecz Prus ziem, objętych patentem okupacyjnym.“



Ko'oża.

W r. 1795 w Grodnie na zamku, Stanisław August podpisał 25-go listopada swoją abdykacyę i mieszkał tu aż do śmierci cesarzowej Katarzyny.

Mamy oto całą polityczną historyę Grodna, zobaczmyż teraz, jakie koleje przechodziło ono pod względem administracyjnym.

Pierwszy przywilej na swobody miejskie dla Grodna (w którym nazwano je Arx Garthensis) nadał Władysław Jagiełło w r. 1391, zostawszy królem polskim.

Kazimierz IV w r. 1444, jako w. ks. litewski, ogłosił Grodno za jedno z głównych miast litewskich, darząc je prawem magdeburskiem. W ciągu panowania Zygmunta I miasto otrzymało największe swobody dla siebie.

Bona Sforza, mając sobie daną do dzierżenia ekonomię grodzieńską, zajęła się bardzo podniesieniem miasta, a jej przywileje dowodzą, jak usilnie dbała o zamożność i porządek w swych posiadłościach.

Stefan Batory, często w Grodnie przebywając stał się obrońcą i opiekunem tego miasta, potwierdził dawne przywileje i wiele nowych swobód zapewnił; stary zamek na nowo wymurował, nad brzegiem Niemna, i przekopem głębokim otoczył.

Zygmunt III przywilejem wydanym na sejmie koronacyjnym w Krakowie r. 1588, za zgodą stanów rzeczypospolitej, między innemi dobrami, i

Grodno z pewnemi włościami „na stół“ królewski uroczyście przeznaczył. Za panowania tego króla, stanął na Niemnie pod Grodnem most drewniany, o którym Starowolski powiada, że piękniejszego nadeń Polska nie miała. Liczne ustawy w XVII i XVIII wieku, usiłowały zabezpieczyć własności tego miasta, przyczyniając się do jego znaczenia i zamożności.

Z cerkwi obrządku wschodniego, które tu jeszcze w w. XII istnieć miały, najdawniejszym jest b. kościołek Bazylianów, na Kołoży pozostały.

Emilia Węsławska.

(Dokończenie nastąpi.)

Z żałobnej karty.

Śp. dr. Józef Kusztelan.

Dnia 4-go b. m. rano zasnął w Bogu po długiej i ciężkiej chorobie śp. dr. Józef Kusztelan, dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu.

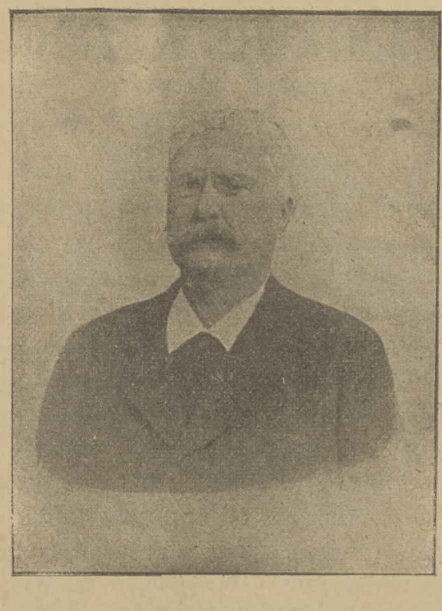
Śp. dr. Kusztelan urodził się roku 1843 w powiecie trzemeszeńskim. Nauki gimnazyalne pobierał w Trzemesznie i w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Na uniwersytet uczęszczał w Berlinie, gdzie słuchał filozofii i filologii i doktoryzował się.

Po skończeniu uniwersytetu zatrudniony przy gimnazyum realnem w Poznaniu jako profesor matematyki, musiał już po 3-ch latach opuścić to stanowisko z powodów politycznych, gdy mu w niższych klasach kazano podczas walki kulturnej uczyć religii po niemiecku, ponieważ ówczesny ksiądz profesor z rozkazu ks. Arcybiskupa Ledóchowskiego nauki tej udzielać nie chciał.

Pozbawiony utrzymania udzielał lekcyi na pensyach, pisywał artykuły w „Dzienniku Pozn.“, potem został kupcem i prowadził handel porcelany i szkła w spółce z Hirschfeldem w Bazarze. Po niedługim czasie spółka się rozeszła. Śp. dr. Józef znalazł stanowisko w Banku Przemysłowców, gdzie z korzyścią pracował przez lat kilka i tam zapoznał się z prowadzeniem interesów bankowych. W owym czasie brał równocześnie udział w wszystkich pracach obywatelskich, w komitetach wyborczych, w towarzystwach przemysłowych gdzie często wygłaszał wykłady.

Obok tego był także członkiem dyrekcyi „Teatru Polskiego“ i założycielem „Spółki budowlanej.“

Z Banku Przemysłowców m. Poznania przeszedł do Banku Spółek Zarobkowych, którym to bankiem kierował lat przeszło 20. Na tem stanowisku rozwinął główną pracę życia swego i położył wielkie zasługi około Banku, a tem samem około społeczeństwa polskiego. A zadanie miał niełatwe, a pracę krwawą. Trzeba sobie uprzytomnić, że był to czas, kiedy społeczeństwo nasze zaczęło się na dobre przeobrażać z społeczeństwa konsumującego, likwidującego, na społeczeństwo produkujące, dorabiające się. Wszystkie banki, zakładane poprzednio kapitałami szlachty i przez szlachtę prowadzone z wyjątkiem jednego bankrutowały. Pozostała w społeczeństwie liczna jeszcze klientela, z natręctwem oblegająca Bank Spółek Zarobkowych i pchająca go także ku upadkowi.



Ś. p. Dr. Józef Kusztelan.

Zmarły borykał się z tą klientelą całe lata. Że Bank Spółek Zarobkowych pod naciskiem właśnie tej klienteli nie runął, to niewątpliwie zasługa Zmarłego, który bronił Banku przed wykolejeniem, podtrzymywał go i do dzisiejszego rozwoju doprowadził przedewszystkiem uczciwością swego charakteru i świadomością wielkiej odpowiedzialności za wielkie interesy społeczeństwa całego, jakie z Bankiem były związane. To stanowi rzetelną zasługę żywota Jego; przez to zasłużył sobie na wdzięczną pamięć całego społeczeństwa.

Niemniej obfitą była działalność Zmarłego w dziedzinie literackiej. Wydawał on przez cały szereg lat obszerne Sprawozdania roczne Związku Spółek Zarobkowych, zawierające ważny materyał statystyczny z życia naszego finansowego.

Wydawał też „Poradnika dla Spółek,“ napisał kilka osobnych prac z dziedziny ekonomicznej, a mianowicie: a) „O wartości pieniężnej człowieka,“ b) „O czekach,“ c) „Kilka uwag o organizacyi Spółek polskich pod panowaniem pruskiem,“ d) Raiffeisen i jego Spółki włościańskie,“ e) „Zarys o wekslach,“ f) „Z przeszłości i teraźniejszości polskich Spółek pod panowaniem pruskiem.“

Cześć Jego pamięci! Wieczny spokój Jego duszy!

* * *

Śp. Dr. Arnold Drygas.

Kłos po kłosie pada na łanie ojczystym. Schylamy czoła i korzymy się przed wyrokiem Boskim, gdy kłos dojrzały pozostawi po sobie siejbę obfitą; lecz żal głęboki serce rani, gdy owoc piękny i pełen, zaledwie w dojrzeniu, a już go wicher życia łamie i ściele do ziemi. I w tem kornie odczuwamy wszechmocność Boską, a choć ból ciężki rozdziera pierś naszą, z poddaniem się woli Bożej szepcemy: Bóg dał, Bóg wziął; niech będzie imię Pańskie błogosławione!

Takim kłosem w dojrzeniu był zmarły codopiero śp. dr. Arnold Drygas, szeroko znany i wysoko ceniony lekarz-specyalista w chorobach wewnętrznych i nerwowych. Urodził się w Pile dnia 17-go kwietnia 1876 r. jako najstarszy syn szanowanego powszechnie w mieście naszem prof. dra Drygasa i żony jego Maryi z Duszyńskich. Zaledwie 9 miał lat, już musiał z rodzicami pójść na wygnanie, na które skazano r. 1885 ojca jego jako jednę z pierwszych ofiar walki kulturnej. Po ukończeniu gimnazyum fuldajskiego, gdzie zamieszkać zmuszeni byli rodzice jego, poświęcił się studyom medycznym na uniwersytetach w Monachium, Wyrcburgu i Giessen. Tu złożył jako młodzieniec 23 letni egzamin państwowy na lekarza r. 1899.

Przez pół roku pracował następnie w oddziale chorób wewnętrznych lazaretu Friedrichshain w Berlinie, a po uzyskaniu doktoratu objął miejsce asystenta w lazarecie poznańskim. Nadzwyczajne zdolności ś. p. dra Arnolda Drygasa tu w całej umiano ocenić pełni. W najzawilszych chorobach on prawie zawsze trafną stawił diagnozę. To też kiedy r. 1901 tyfus plamisty zapanował na Kujawach i szerzył spustoszenie po zagrodach i wsiach nadgoplańskich, ś. p. Arnold Drygas z ramienia regencyi udał się w tamtejsze okolice, by kres położyć groźnej zarazie. Młody nasz doktor zbadawszy sytuacyą, kazał budować baraki, odosobnić chorych a przepisawszy środki zaradcze, w bardzo krótkim czasie ogra-

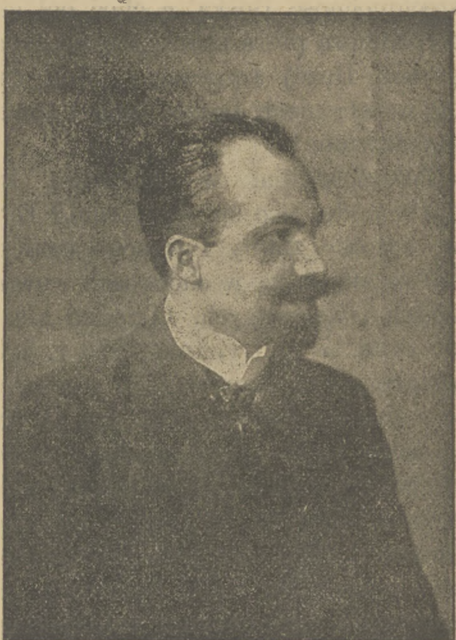
czył i uśmierzył srożącą się chorobę, co przełożona władza wielce pochlebnie uznała.

Z końcem roku 1901 osiadł w Skokach, gdzie praktyka jego rozgałęziła się aż do sąsiednich powiatów. Dziś jeszcze z wdzięcznością wspominają go nie tylko pacyenci, ale i całe obywatelstwo miasta i dalekiej okolicy.

Żądza wiedzy wyrwała go przecież z tego pola pracy. Udał się na dalsze studya do Berlina i objął posadę asystenta w klinice chorób wewnętrznych sławnego na świat cały prof. Leydena.

Pogłębiwszy jeszcze więcej wiadomości swoje w sztuce lekarskiej, wrócił do Poznania i osiadł w mieście naszem jako specyalista w chorobach wewnętrznych i nerwowych.

Poślubiwszy Zofię Kranzównę z Morzewa, niedługo cieszył się szczęściem małżeńskiem. Młoda małżonka



Ś. p. Dr. Arnold Drygas.

obdarzywszy męża córą, osieroconą dziś Felicyą, zasnęła w Bogu na rękach ukochanego męża.

Sp. Arnold Drygas nie mając spokoju po stracie żony, udał się w podróż naukową do Ameryki, by użyć wywczasu, zbadać świat i ludzi, a tem samem zbogacić wiedzę swoją naukami przyrodzonemi. Z Ameryki puścił się do Afryki i Azyi, gdzie w mieście indyjskiem Bombay badał zarazek żółtej febry wspólnie z lekarzem francuskim dr. Lecoq. Z Bombay nadesłał jeszcze ostatnią swą pracę naukową „o hygienie ducha,“ publikowaną we fejletonie „Dziennika Poznańskiego“.

W powrocie do Europy zaskoczył cyklon morski na oceanie indyjskim okręt „Sułtan“, na którym sie znajdował ś. p. dr. Drygas. Parowiec zupełnie potrzaskany zaledwie dobił brzegu Afryki, a podróżnik nasz nabawił się wskutek nagłej zmiany temperatury z 48° Cels. do 0, spowodowanej owym cyklonem, zapalenia płuc, któremu pod nadmiernem działaniem słońca afrykańskiego uległ w Daressalam dnia 24 z. m.

Zgasły przedwcześnie lekarz stał naukowo bardzo wysoko. Pisał wiele rozpraw w czasopismach zawodowych lekarskich polskich i niemieckich. Był współpracownikiem „Nowin lekarskich“, miewał wykłady na zebraniach lekarskich, a w praktyce zyskał sobie imię zdolnego i wielce poszukiwanego lekarza.

W życiu publicznem był znany jako gorący patryota, poświęcający się chętnie dla spraw społecznych, w życiu towarzyskiem umiał sobie ująć serca wszystkich i zjednać powszechną miłość i szacunek. Cześć Jego pamięci!

JÓZEF RENAUD.

Kulawe widmo.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Tak — mówił dalej Jakób — chociaż księżyc schował się za chmury, widziałem doskonale, że to był on. Jego figura, jego chód i tak samo wlókł niezgrabnie swoją drewnianą nogę. Ale posuwał się naprzód zupełnie bez szelestu i dokoła otaczała go jakaś mgła. Wyglądał jak mglisto-szare widmo. Jestem pewien, że to był on. Znikł potem nagle, a ja przez godzinę jeszcze, drżący od zimna, stałem na tem samem miejscu, ale już nic więcej nie widziałem. Wszystkie drzwi i okienice w domu były pozamykane. Od tej pory boję się ogrodu. Nie mogę w nim pracować. A ponieważ, wracając do domu, idę także tamtędy, dlatego, dla dodania sobie odwagi, piję wino.

— Więc to tak! — wykrzyknęła Ludwika swoim burgundzkim akcentem. — I ty także!

— My, wszystko troje! —dodałem.

— Jakto? — zapytał Jakób zdziwiony.

— Tak, ty boisz się pracować w ogrodzie, a ja, trzepiąc tam codziennie dywany, widziałem już nieraz ślady stopy, a obok niej okrągły dołek od drewnianej nogi... Ślady takie są po całym ogrodzie, jakby się tam ktoś dla przyjemności przechadzał. Teraz Ludwika zaczęła opowiadać nam swoje spostrzeżenia.

— Drzwi i okna są zwykle na głucho na noc zamknięte, tak, że nikt do domu wejść nie może... Lichtarz i pudełko z zapałkami stoją zwykle na stoliku w kurytarzu... I oto już kilka razy z rzędu zauważyłam, że w nocy ktoś zapalał świece i wszystko poprzestawiał tak, jak to lubił nieboszczyk pan. I jeszcze jedno: pamiętacie, jak pan gniewał się zawsze, jeżeli posążki na kominku zwrócone były twarzą ku sobie i ustawiał je profilem?

Od czasu jego śmierci ustawiam je zwykle po swojemu... I cóż! rano ani świecy ani zapałek na miejscu, a figurki stoją zwrócone ku sobie bokiem!

— To znaczy, że on tu przychodzi — powiedział ochrypłym głosem Jakób.

Nikt nie odpowiedział. Czuliśmy, że dreszcz przechodzi nam po skórze. Nawet nasza zdrowa Ludwika pobladła jak płótno.

Znowu zapanowało ciężkie milczenie.

— Zapewniam pana, panie doktorze, że widzieliśmy to wszystko nie we śnie... I w tej samej chwili pod naszemi nogami, z prawej strony, czy z lewej, a może na strychu, bo trudno było zrozumieć — usłyszeliśmy szmer, od którego włosy stanęły nam na głowie: były to wyraźne kroki naszego pana!... Tak, słyszeliśmy wyraźnie, jak ciągnął za sobą swą drewnianą nogę. Potem wszystko ucichło, a my przez noc całą siedzieliśmy w kuchni nieprzytomni ze strachu. Kazałem milczeć Jakóbowi i Ludwice, a sam starannie niszczę codziennie ślady w ogrodzie. Przyszedłem opowiedzieć wszystko panu, co pan doktór na to powie? Lekarz nie wierzy nigdy w zjawiska nadnaturalne, jednakże w tej chwili nie wiedziałem sam, co odpowiedzieć Feliksowi.

— Mój przyjacielu — odrzekłem w końcu po namyśle — prawdopodobnie wszystko troje miewaliście halucynacye, albo jakiś figlarz kpi sobie z was.

— Halucynacye?... No, panie doktorze, dużo o tem czytałem w książkach, ale żeby troje ludzi miewało halucynacye co do tego samego przedmiotu, o tem nigdy nie słyszałem. A co się tyczy figlów, to przecież nikt nie może wejść do parku, a tem bardziej do domu... Znaczy więc...

— Ale koniec końców, czego ty odemnie chcesz, przyjacielu?

— Czyby pan doktór nie zgodził się dziś wieczorem postróżować ze mną w parku? Kto z nas nie zajmował się z zajęciem spirytyzmem, nie słuchał wróżek, lunatyków itd.?

Śmiejąc się w duchu nad samym sobą, przystałem na propozycyę.

— Przyjdę po pana o dziesiątej wieczorem — powiedział Feliks.

Niestety! wieczór nadszedł zbyt prędko! W ciepłym pokoju paliła się wesoła lampa, a za oknem na dworze

huczał wicher jesienny i gnał po niebie czarne chmury, z poza których czasami ukazywał się blady księżyc. Ładna noc do przechadzki!

— Niech się pan doktor ciepło ubierze, na dworze zimno... Spóźniłem się trochę, bo dziś pani bardzo chora — miała silne ataki duszności — mówił Feliks.

Był widocznie zdenerwowanym. Strach wykrzywiał jego gładko wygoloną twarz, strach świecił w patrzących dziko oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dlaczego kobiety żyją dłużej niż mężczyźni?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, które bezwątpienia zainteresuje czytelników, musimy sięgnąć do statystyki. Wykazuje ona, że we wszystkich krajach Europy — z wyjątkiem Włoch — a także i w Ameryce, kobiety wogóle żyją dłużej niż mężczyźni. Można się o tem przekonać z cyfr odnoszących się do ludzi, którzy dożyli stu lat.

Spis ludności w Stanach Zjednoczonych wykazał, że w 1890 roku na 3981 starców stuletnich, było 2582 kobiet i 1398 mężczyzn. Liczba ta wydaje się przesadzona, co łatwo mogło się stać, skutkiem różnoplemiennej ludności i bardzo swobodnych praw amerykańskich.

Gdyby ta statystyka była dokładna, uderzającą byłaby liczba stuletnich starców w Stanach Zjednoczonych, przeciętnie dziesięć razy większa od takiejże liczby z tej strony oceanu, co jest zupełnie nieprawdopodobnem.

Przejrzyjmy teraz statystykę krajów europejskich.

W dniu 1 grudnia 1890 roku, w całych Niemczech było tylko 14 mężczyzn i 64 kobiet w wieku powyżej sto lat: w samych zaś Prusach, w przeciągu czasu od 1881-go stwierdzono liczbę 290 stuletnich starców i 595 stuletnich kobiet. W Austryi 31 grudnia 1890 r. liczono 78 mężczyzn i 150 kobiet mających po sto i więcej lat.

We Francyi według urzędowych wykazów w r. 1895 było tylko 66 mężczyzn i 147 kobiet, które przekroczyły stuletnią granicę. Przeciętnie, na dziesięć osób stuletnich, wypada siedm kobiet i trzech zaledwie mężczyzn. Płeć piękna — jeżeli można ją tak jeszcze nazywać, gdy dojdzie do tego wieku — znajduje się w liczbie dwa razy większej od mężczyzn.

Wymowniejszym jeszcze od tego dowodem przewagi długowieczności ze strony kobiet, są urzędowe sprawozdania angielskiego rządu. Według nich, w Anglii i Szkocyi, najwybitniej ze wszystkich krajów europejskich występuje przewaga długowieczności kobiet nad mężczyznami.

W Londynie w 1891 roku było 21 osób mających przeszło 100 lat; a w tej liczbie 16 kobiet i 5 mężczyzn. Ten sam stosunek okazał się między stuletnimi starcami w 1894 r. w Szkocyi. Jednem słowem — pomimo, że w braku ścisłych danych, niepodobna ustalić dokładnej liczby ludzi, którzy przekroczyli sto lat — nie podlega wątpliwości, że każda z kobiet ma dwa lub trzy razy większe szanse długiego pobytu na tej ziemi, niż mężczyzna.

Jakież są tego powody?

Na pierwszem miejscu należy postawić to, że kobiety wyłączone są od zawodów, w których pracownicy wystawieni są na niebezpieczeństwo, jak żołnierze, marynarze i t. p.

Bezpieczniejsze są także rzemiosła, któremi trudnią się kobiety, aniżeli np. rzemiosła uprawiane przez mężczyzn ciesielskie, mularskie, praca górników w kopalniach i inne. Prawodawstwo cywilizowanych krajów zabrania kobietom zajmowania się różnemi pracami, grożącemi niebezpieczeństwem lub szkodliwemi dla zdrowia.

Nie znaczy to, żeby kobiety nie płaciły corocznie obfitego haraczu ofiar, jakie pochłania nowoczesny przemysł; ale jednak na ogół, życie ich jest mniej wystawione na niebezpieczeństwo, niż życie mężczyzny.

Na długowieczność kobiet wpływają inne jeszcze względy, a mianowicie, że większość kobiet umie się wystrzegać rozmaitych nadużyć, które skracają życie mężczyznom. Kobiety prowadzą życie regularniejsze i pijaństwu składają mniejszą daninę, niż rodzaj męski. Zdarza się w niektórych krajach — zwłaszcza w Anglii — że policya zbiera na ulicy leżące pijaczki, ale są to wyjątki wśród kobiecego ogółu, które znikają wśród pięciomilionowej masy mieszkańców Londynu.

Materyalne położenie wielu wdów i starych panien, które dożyły do lat stu — co się trafia więcej aniżeli wśród kobiet zamężnych — niektórzy badacze, uważają także za powód długowieczności. Zwracają oni szczególną uwagę na kobiety, które zmuszone są pracować na swe utrzymanie i wiodą życie pod każdym względem wstrzemięźliwe. Angielski uczony — William Kinnear — w zajmującem studyum nad długowiecznością, przypisuje ją stanowczo — wstrzemięźliwości.

„Jeżeli pragniemy przedłużyć nasz pobyt na tej ziemi — mówi on — musimy przedewszystkiem wystrzegać się wszelkich nadużyć w jedzeniu, piciu i całym trybie życia. Powinniśmy żyć pod każdym względem umiarkowanie i skromnie, a tym sposobem zachowamy ciało nasze w dobrym stanie i przedłużymy życie. Zdawałoby się, że ludzie bogaci, żyjący w najszczęśliwszych warunkach, mają większe widoki doczekania późnego wieku, a tymczasem do osiągnięcia stuletniego wieku staje im na przeszkodzie toż samo, co według Pisma Świętego przeszkadza bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego. Prawie wszyscy ludzie, który dożyli stu lat, byli ubodzy; a gdyby warunki ich życia były przyjemniejsze, samo życie nie trwałoby tak długo‘‘.

Pogląd ten znajduje potwierdzenie w urzędowych opiniach ludności w Szkocyi. Wymieniono w nich między szesnastu stuletniemi przeszło kobietami, dwie bez żadnych środków, otrzymujące zapomogi z dobroczynności publicznej; a trzecia była wdową po robotniku w dokach. Z pozostałych 13 stuletnich kobiet, „ani jedna‘‘ nie była zamożna: wszystkie pochodziły z ubogich warstw społeczeństwa i były córkami lub wdowami mularzy, służących, robotników rolnych lub ogrodników.

Pięciu stuletnich starców mężczyzn wymienia ten sam statystyczny wykaz, jeden z nich był owczarzem, drugi tkaczem, trzeci robotnikiem w dokach, czwarty kamieniarzem, a piąty ogrodnikiem. Żaden z nich nie opłacał podatku dochodowego. Posiadacza nieruchomości, ani kapitalisty między stuletnimi starcami nie zanotowały dotąd ani razu wykazy statystyczne w Szkocyi.

Inny znów wpływ na długowieczność wywiera stan małżeński. Ciekawy pod tym względem przypadek cytuje wyżej wymieniony William Kinnear. Eliza Work, mieszkanka miasteczka Henrietta (w Stanie New-York) zapytana jakim sposobem, pracując od lat dziecinnych, bez przerwy od rana do nocy, mogła dożyć stu lat w zupełnem zdrowiu, odpowiedziała:

— Zapewne dzięki temu, że nie piłam nigdy kawy ani herbaty, a nadewszystko dzięki temu, że... nie poszłam zamąż. Dlatego przeżyłam sto lat bez

żadnych kalectw, i nawet okularów dotąd nie używam. Mój biedny brat, który umarł przeżywszy 101 lat, niezawodnie żyłby dotąd, gdyby nie był żonaty.

Ale zdanie to, przypisujące długowieczność pozostawaniu w bezżennym stanie, nie znajduje potwierdzenia w statystyce. Pomiędzy wyżej wzmiankowanemi 16 stuletniemi staruszkami było piętnaście wdów, a tylko jedna panna.

Pozostaje jeszcze do zbadania, czy oprócz różnych przyczyn, które w ucywilizowanych krajach wpływają na skrócenie życia mężczyzn — kobiety nie są już przez samą naturę uposażone w większą siłę żywotną?

Co do tego, zdaje się, że niema żadnej wątpliwości. Statystyka odpowiada stanowczo na to pytanie. Wykazuje ona, na jak długi pobyt na tej ziemi ma prawo liczyć każdy mieszkaniec cywilizowanych krajów.

I z tych źródeł możemy się przekonać, że kobieta ma pod tym względem niezaprzeczone pierwszeństwo. Z wykazów statystycznych, których wiarogodności niepodobna podejrzewać, każdy mężczyzna czterdziestoletni ma prawo liczyć jeszcze na 25 lat i cztery miesiące życia, a kobieta urodzona w tym samym co on dniu, ma widoki dłuższego o 26 miesięcy pobytu na ziemi. Przewaga ta dałaby się wytłomaczyć wymienionemi poprzednio warunkami, zagrażającemi życiu mężczyzn, ale chcąc się o tem przekonać, musimy sięgnąć do wykazów statystycznych, odnoszących się do najwcześniejszego dzieciństwa, a przekonamy się z nich, że każde dziecko płci męskiej, urodzone w tym samym dniu, co dziecię płci żeńskiej ma zaledwie 17 szans przeciwko 1 przeżycia pierwszego roku — gdy dziewczynka ma tych szans 21 przeciwko 1 śmiertelnej.

Od lat pięciu do dziewięciu, a jeszcze więcej od dziewięciu do czternastu — przewaga żywotności jest po stronie chłopców. Ale już od piętnastego roku, kobiety odzyskują pierwszeństwo. I pierwszeństwo to wzrasta w miarę lat, tak, że w 85 roku życia, prawdopodobieństwo śmierci u kobiet jest jak 1 do 4, a u mężczyzny jak 1 do 3. Różnica ta wzrasta w miarę zbliżania się do lat stu i doszedłszy do tej granicy długowieczności, żywotność kobiety odzyskuje tę samą przewagę nad żywotnością mężczyzny, jaką miała w pierwszych latach życia. *G.*



Toast weselny.

O wilgotnych pomieszkaniach.

(Pogadanka hygieniczna.)

W miastach, w których gorączka budowlana ogarnęła niektórych spekulantów, zauważyć można dużo kamienic o mokrych mieszkaniach. Przyczyny szukać należy w zbyt prędkiem oddawaniu świeżo wybudowanych kamienic odbiorcom pomieszkań, dalej w sposobie budowy tychże, a niemniej w sposobach używania i utrzymania pomieszkań. Wilgoć bywa albo przemijająca, albo trwała. Gdy się nie zabezpiecza fundamentów przeciw wilgoci, z ziemi pochodzącej, wtedy nietylko mokre są piwnice, ale wszystkie ściany do najwyższych piętr. Woda, zawierająca dużo soli, używana przy budowie, bywa również przyczyną wilgoci trwałej. — Przemijającą wilgoć wywołuje zamieszkiwanie nowych, nienależycie wysuszonych kamienic, niehygieniczne używanie pokojów, pranie w kuchni, zwłaszcza bez odpowiedniej wentylacyi, nieostrożne obchodzenie się z wodą i t. d.

Każdy wie, że wilgotne pomieszkania są szkodliwe dla zdrowia.

Wilgoć nie wywołuje jakichś specyalnych chorób, ale pociąga za sobą pogorszenie już istniejących, [illegible] osłabia odporność naszego organizmu

przeciw nawiedzającym go chorobom. Dlatego to szczególnie źle i przykro odczuwają wilgotne pomieszkania ci, co cierpią na reumatyzm, newralgię, katary nosa, ucha i krtani, tudzież na chroniczny nieżyt płuc.

W wilgotnem mieszkaniu nawet pokarmy ulegają zepsuciu, wskutek czego znowu tacy nieszczęśliwi zapadają na katar kiszek i żołądka.

Małe dzieci, a szczególnie dzieci przy piersi, cierpią bardzo, gdy przebywać muszą w wilgotnych pokojach, wilgoć bowiem odbiera dzieciom dużo ciepła.

Hygiena publiczna powinna i musi zwrócić swą szczególną uwagę na takie domy.

Gdy wilgoć pokazuje się w starych domach, brać ją należy na karb braku światła i powietrza.

Na pytanie, kiedy można się sprowadzić do nowego domu bez uszczerbku dla zdrowia, trudno dać odpowiedź.

Ustawa powiada, że wtedy można objąć mieszkanie w nowym budynku, gdy jest należycie wysuszony i suchy, czego się z reguły ani właściciele domów, ani nawet odbiorcy pomieszkań nie trzymają. — Stare przysłowie powiada, że pomieszkanie w nowo wybudowanym domu odstąpić należy w pierwszym roku swemu wrogowi, w drugim swemu przyjacielowi, a w trzecim roku dopiero wziąć je sobie. — Choć publiczność nasza zna szkodliwy wpływ wilgotnych pomieszkań na zdrowie, przecież mało na to zważa.

Pewien lekarz nie był w stanie nakłonić swojej pacyentki do wyprowadzenia się z wilgotnego pomieszkania, choć mógł ją przekonać, że szkodzi jej wilgoć. Dopiero gdy znalazła swoją parasolkę kosztowną i parę drogich bucików, pokrytych grubą warstwą pleśni, zdecydowała się opuścić wilgotne pomieszkanie.

Dr. E. F.

Oszczerstwo.

Od najdawniejszych czasów prawo zrozumiało, że krzywda moralna jest szkodą w życiu ludzkiem równie wielką, a często większą nawet, jak i krzywda materyalna. Prawodawstwo rzymskie jest oczywiście i w tym razie prawowzorem subtelnego i głębokiego rozumienia rzeczy. Tu zrozumiano przedewszystkiem, że oszczerstwo jest godnem najsurowszego napiętnowania, a zrozumiano to nawet tak dosłownie, iż istotnie za czasów republiki, piętnowano kalumniatorów literą K., wypaloną na czole (starołacińska pisownia wyrazu „Kalumnia,“ t. j. oszczerstwo). Toż prawo rzymskie wyraźnie oznaczało istotę oszczerstwa: oszczerstwem było rzucanie fałszywych, czci dobrej uwłaczających, oskarżeń na kogoś publicznie — bądź przed urzędami, bądź też na piśmie. Tak więc oskarżony o oszczerstwo mógł się bronić przedstawieniem „dowodów prawdziwości“ oskarżenia swego, a gdy go dowiódł, zarzut oszczerstwa tem samem upadł. W Rzymie Cezarów, zwłaszcza w epoce rozwoju paszkwilów, szczególnie zaś paszkwilów bezimiennych, *) prawo dowodu prawdy uległo pewnym ograniczeniom.

W prawnym świecie germańskim aż do wieku XVIII. panowały cokolwiek zmącone pojęcia o oszczerstwie. Mianowicie prawo niektórych przynajmniej ziem niemieckich uważało za oszczerstwo głoszenie prawdziwych nawet wieści o osobie, gdy te na niekorzyść jej świadczyły. Prawo niemieckie, nie tak wyrobione na szerokiem i jawnem życiu publicznem, jak rzymskie, uważało, że jedyną instancyą, która o prawdzie tyczącej się osób prywatnych wiedzieć powinna, są władze, nie zaś opinia ogółu. Jednakże i tu nastąpił rozwój tych pojęć, zapoczątkowany przez Feuerbacha w wieku XVIII.

Anglia, wreszcie wyrobiła sobie w przebiegu historycznym może najszerszy i najsłuszniejszy pogląd na istotę oszczerstwa. Notujemy tu ostatnią fazę rozwoju tego poglądu. W Anglii za oszczerstwo uważanem jest oczywiście rozgłaszanie „nieprawdziwych“ wieści o danej osobie. W połowie zaś wieku przyjęło prawodawstwo angielskie zasadę Campbell'a, że opinie uwłaczające osobom o tyle uważać należy za oszczerstwo, o ile głoszenie ich nie było spowodowane względem na „dobro publiczne.“ Tak więc nie jest oszczerstwem napiętnowanie w druku działalności, dajmy na to dziennikarza, o ile napiętnowanie to wynika z gorliwej i szczerej chęci służenia sprawie publicznej, nie zaś prywacie.

Francya wprowadziła w prawie swem nowy termin przestępstwa, mianowicie dyfamacyę. Dyfamacyą jest wszelkie głoszenie wieści uwłaszających honorowi i czci osoby, chociażby te były prawdziwe. Jak widzimy, jest to pojęcie znowuż wykrętniejsze od jędrnych i dobro publiczne przedewszystkiem mających na celu zasad prawa rzymskiego i angielskiego.

W staropolskiem prawie i obyczaju od najdawniejszych już czasów piętnowano oszczerców. Wiemy, jak odszczekiwano potwarz, rzuconą na królowę Jadwigę a formuła odwołania zawierała dosadne wyrazy: „łgałem jako pies“.

Allegoryczny obraz „Oszczerstwo“ pędzla jednego ze znakomitych artystów-malarzy, którego reprodukcya zamieszczamy na illustracyi albumowej, obrazuje nam sąd na oszczercę w czasach starożytnych.

*) I dziś niestety! sport paszkwilów bezimiennych kwitnie w najlepsze, o czem mianowicie w Nowy Rok mogło się przekonać wielu z naszych Czytelników. — Przyp. Red.



Warownia Szliselburska na jeziorze Ładoga.
(Patrz artykuł p. t. „Grób żywych“).

Grób żywych.

W pismach rosyjskich rozeszła się wiadomość, że więzienie polityczne w warowni Szliselburskiej ma być zniesione. Warownia ta znajduje się w miejscu, gdzie Newa wypływa z jeziora Ładogi, na oddzielnej wyspie, oddalonej o pół wiorsty od brzegu. Mury fortecy, 20—30 łokci wysokie, wzniesione zostały w XVII wieku. Od początku swego istnienia forteca przyj-

mowała najważniejszych więźniów politycznych. Kto raz wstąpił w jej progi, rzadko już oglądał świat po za tą fatalną wyspą istniejący. Nie bez słuszności też Szliselburg nazywano grobem żywych.

W więzieniu.

Świszcze z gradem wiatr zmieszany,
Północ czarna, północ głucha...
Nie słysząca ani ducha,
Zasępione milczą ściany.

A w izdebce niewolnika,
Siny płomyk ze świecznika,
Raz się wznosi, raz się kryje,
Znowu skona, znów ożyje.



Wjazd do warowni Szliselburskiej.

Ale kogoż, ej! dla Boga,
W samą północ zły duch goni?
Po podłodze tętni noga,
Szczęk żelaza w uszach dzwoni?

Ach! to żołnierz jak lew dziki,
Strzeże młode niewolniki,
Bez litości, bez wytchnienia,
Nosi serce jak z kamienia!

I za danym niemo znakiem,
Klucz się w zamku kręci twardy.
I zapora kordygardy,
Potrójnym trzasła slosakiem.

Wchodzi chytry jak wąż sprawca,
I baczności i porządku,
Z pięknem słówkiem na początku:
„Jak się miewasz mój łaskawca?

Czego płaczesz więźniu młody,
Czego płaczesz bez ustanku,
Od wieczora do poranku?
Czego płaczesz więźniu młody?“

Ni kochanki, ni swobody,
Ani ojca, ani matki,
Ni rodzinnej płaczę chatki:
Płaczę sobie bez przygody...

Tyś służalec na skinienia,
Chceszże udać głos cierpienia?
Liżąc, kąsasz potajemnie;
Precz odemnie, precz odemnie!

Jan Czeczot.

Kilka słów
o dzisiajszej fotografii w szczególności u nas.

Fotografia jest dzisiaj w świecie tak doniosłą odnogą umiejętności ogólnych, (wyrżenie „zawód“ byłoby oczywiście ramą za ciasną) że uważam za zupełnie stosowne wypowiedzenie kilku uwag o fotografii w ogólności a u nas w szczególności, o ile miejsce na łamach „Pracy“ na to pozwoli.

U ludzi szerokich mas, a nawet i poniekąd u przedstawicieli naszej inteligencyi panuje częstokroć przekonanie, zresztą jak to się będę starał dowieść, bardzo mylne, jakoby nie było łatwiejszej rzeczy, łatwiejszego „rzemiosła“ od fotografii. Ale spytać się właśnie tak myślących z jakiegoż to choćby właściwie materyału składają się cząsteczki tej drobnej na papier uchwyconej podobizny bądź to jakiejś ludzkiej istoty, albo kawałka innej natury, spotkamy się zwykle z wszystkiemi możliwemi odpowiedziami, jeśli nie z szeroko rozwartemi ustami, ale nieomal nigdy nie usłyszymy słowa, któreby się choć w przybliżeniu zgadzało z prawdą. Oświecić zaś takiego pana (z paniami oczywiście nie zdarza się o tem dysputować, a jeśli się wyjątek zdarzy, okazują zwykle więcej zrozumienia) że kawałek codziennie przed oczy nam się stawiającej fotografii nic innego nie jest, jak srebro i to, to samo srebro, które nam w ponętnych talarach brzęczy, spotkać się można zazwyczaj albo z ironicznym uśmiechem, albo u rozsądniejszych z jakiemś zaciekawieniem w wyrazie.

Lecz przejdźmy do rzeczy, gdyż idąc dalej w ten sposób wyszlibyśmy daleko po za granicę zamieszczonego nagłówka, a wzmianka powyższa ma tylko służyć ku wskazaniu jak wyżej wymienione przekonania już na pierwszym punkcie wprost nierozsądnemi się okazują.

Wprawdzie nie możemy zwłaszcza my Polacy poszczycić się nadzwyczajnem zainteresowaniem powyższą kwestyą, zkąd oczywiście wielki brak lepszego zrozumienia rzeczy a w drugim rzędzie większy jeszcze brak dobrych zakładów fotograficznych, gdyż publiczność nie rozróżniająca dobrego od złego, odnośnie odnajdująca tak w dobrej jak i w nędznej fotografii zawsze tylko tę samą fotografią, liczy się — rzecz jasna — tylko z cenami. Że zaś te ostatnie różnią się od siebie tak, jak różnią się prace dostawiane za nie, ztąd w domach naszych tak bardzo trudno pomiędzy nieraz setkami fotografii znaleść choć jeden egzemplarz zasługujący na miano fotografii dobrej, któraby pod względem technicznym jak i artystycznym nie okazywała monstrualnych nieraz błędów.

Użyłem w stosunku do fotografii wyżej słowa „artyzm“, który jednak dla znawcy sztuki w tem miejscu mógłby się wydawać, jeśli nie profanacyą ideału, to conajmniej czemś bodaj trochę śmiesznem i miałoby to licząc na „nasze“ stosunki w fotografii absolutnie uzasadnioną podstawę, lecz zdaje się, iż się nie mylę, jeśli powiem, żeby to u nas i wtenczas podstawę wystarczającą miało, gdybyśmy inną gałęź sztuk pięknych w miejsce fotografii stawili. Nie leży w ostatniem mojem spostrzeżeniu żadna złośliwość, raczej li tylko bolesne naruszenie smutnej prawdy. Nic to jednakże, możemy się pocieszyć, że nie tylko u nas, ale i gdzieindziej też się jeszcze znajdą tacy, którzy skutku tej prawdy wcale nie są w stanie odczuć. Są zresztą i u nas ludzie, chociaż ich mało, z przekonaniem, że wyraz „sztuka“ nie jest dla fotografii tytułem niezasłużonym. Ma się rozumieć, że fotografia jako taka, jako fotografia niczem więcej nie jest, jak techniką, tak samo jak układanie pędzlem farby na płótnie samo przez się więcej niczem nie jest i chcąc w malarstwie na przykład sztuki szukać, nikt się nie ograniczy na zatrzymaniu się nad mniej lub więcej umiejętnem prowadzeniem pędzla, choć faktem jest, że i owa technika nie poślednie zajmuje miejsce w sztuce samej. Publiczność zaś, nawet ta, która z słów powyższych umie sobie zupełnie zdać sprawę co się tyczy n. p. malarstwa, w fotografii zaś nie umie poza oszacowaniem zręczności technicznych dopatrywać się czegoś więcej.

Ot, kwestya jest ta, że sztuka wcale tak wybredną w technice nie jest, jak się to ogólnie w przeciętnem towarzystwie uważa i że punktem wyjścia pozostaje zawsze ostateczny rezultat. A że zadaniem sztuki jest wierne oddanie

natury, zatem każde dzieło chcące kandydować do tak zaszczytnego tytułu, musi przedewszystkiem spełnić ten warunek: „być jak najwięcej identyczne z naturą'', im więcej natury, tem więcej sztuki, lecz wzgląd na użycie mniej lub więcej trudnej, lub też mniej lub więcej skomplikowanej techniki.

Że zaś powyższy warunek za pomocą fotografii tak samo osiągnąć można jak za pomocą malarstwa, albo go też za pomocą jednego i drugiego nie osięgnąć, nie potrzeba z pewnością więcej dowodzić, jako i to, że osiągnięcie owego warunku li tylko na wykonawcy owej techniki, owego rodzaju wykonania zależeć może. Ergo, dowodzi to, że fotografia jako taka będąc tylko techniką, może tak samo jak malarstwo lub inna gałęź sztuki, w przedstawicielu swoim dać typ artysty w całem tego słowa znaczeniu. Typy te jednakowoż są bardzo rzadkie, lecz oczywiście tem cenniejsze, tem więcej podpadające. Kto miał sposobność w ostatnich latach się mnożące wielkie wystawy fotograficzne w Niemczech, Anglii i Francyi bliżej obserwować, ten niezawodnie doszedł do tego samego przekonania wobec fotografii, co piszący te słowa po krótce się starał wyrazić. Oczywiście jest to tylko kilka rzuconych uwag i szkoda, że nam miejsce na więcej nie pozwoli, tem więcej że ogólnikowe te uwagi przenieść jeszcze nam wypada na grunt poznański, stosownie do zamierzonego celu. Dążności artystyczne w fotografii ujawniły się u nas oczywiście nie najrychlej. Wytłómaczenia powodu niezawodnie przytaczać nie byłoby potrzeba, ponieważ jednak sądzę, że znajdą się czytelnicy, którzyby sobie sami sprawy stąd nie zdawali, zwracam pomiędzy innymi na to uwagę, iż objaw ten, nie będący już wcale dzieckiem umysłowości dzielnicy poznańskiej, nasamprzód dotąd przeniesionym być musiał, i to aby się zakorzenić nie tylko teoretycznie, ale przedewszystkiem praktycznie. Było zatem trzeba odczekać czasu aż kierunek ten znajdzie sobie grunt na zachodzie Europy, gdzie jednostki z naszego społeczeństwa fotografii poświęcone, nim się najprzód przejąwszy odnośnie doszedlszy do rutyny, zechcą za powrotem do kraju ten świeży wiew na przez siebie zastąpionem polu kultury razem z sobą przenieść.

Dzisiaj możemy śmiało powiedzieć, oglądając wystawy naszych polskich fotografów w Poznaniu a mianowicie „Atelier Rubens dawniej Mirska'' przy placu Wilhelmowskim, że i na tem polu okazaliśmy dość żywotnej siły, aby napływowi obcemu przeciwstawić nie tylko zupełną równowagę, ale z dzieł okazowych jako i prac codziennie pracownie naszych fotografów opuszczających sądząc, mamy na polu fotografii w Poznaniu niektórych przedstawicieli, mogących w wyższym daleko stopniu zaspokoić wymagania sztuki i techniki, jak wszelka konkurencya obca.

Ubolewać tylko należy, że jak wszędzie tak i tutaj niejeden raz jeszcze uprzedzonych przedstawicieli naszego społeczeństwa napotykać można przystrajających swemi podobiznami wystawy przedstawicieli żywiołu obcego. Oglądając nieraz przy takiej sposobności podobizny osób, o których zmyśle artystycznym zdawałem się sam być przekonanym, odczuwałem bolesne rozczarowanie, widząc jak mało bierze się na seryo zadanie fotografii iście artystycznej, abstrahując już zupełnie od jakiejkolwiek bądź myśli społecznej, gdyż właśnie między innemi wyżej wymieniona firma w całem znaczeniu sztuki i estetyki artystycznej, o całe niebo wyżej stoi od całej przez ogół publiczności okrzyczanej konkurencyi obcej w naszem mieście.

Ale to już zwykle, na upartych nie ma lekarstwa!

Dom Napoleona

na wyspie Elbie.

(Wspomnienie historyczne.)

Początek marca w roku 1815 zaznaczył się wyraziście w dziejach Europy. W Wiedniu w tym czasie radzono nad sposobami, któreby przywróciły wśród państw i ludów porządek naruszony gwałtownem wstrząśnieniem rewolucyi francuskiej, a następnie krótkiem, ale doniosłem panowaniem Napoleona I-go we Francyi. Napoleonowi oddano na własność wyspę Elbę na morzu Śródziemnem, a raczej osadzono go tam, aby nie miesz spokoju monarchom Europy. Zdawało się, że wygnaniec na samotnej wyspie nie poważy się na burzenie dzieła, z takim mozołem wznoszonego przez monarchów w Wiedniu.

Nagle po Europie rozchodzi się wieść, że Napoleon opuścił Elbę i powraca do Francyi, gdzie nań oczekują liczni jego zwolennicy. Niby grom z nieba pogodnego spadła ta wiadomość na uczestników kongresu wiedeńskiego. Obrady przerwano, utworzono koalicyę mocarstw przeciw „burzycielowi pokoju.''

Sto dni trwało to powtórne panowanie Napoleona, a skończyło się klęską pod Waterloo, która położyła kres pełnej blasków i chwały potędze pierwszego cesarstwa we Francyi.

Dziś, jako wspomnienie po owych chwilach „marcowych'' pozostał tylko domek na Elbie, w którym Napoleon mieszkał w czasie pierwszego swego wygnania.



Dom Napoleona na wyspie Elbie.

W naszej wiosce...

W naszej wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch:
I wesele i dostatek,
Każde dziewczę, gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz.

Czy w jesieni — czy to w wiośnie
Były piękne dni.
Gdy pracujem, serce rośnie,
Gdy się bawim, to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy;
I do czarki i do pracy,
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie nasi starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!

Pójdę do nich, na mogile
Będę płakał rad...
Do nich miodu dzban wychylę
I pogwarzę, słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.
Ludwik Kondratowicz.

Humor i satyra.

Na raucie.

On. Uśmiech twój, pani, to zapach róży...
Ona. Majątek pewnie masz pan nieduży!
On. W twem oku tęcza z brylantów płonie...
Ona. Och, zbytków widzę nie dasz pan żonie.
On. Twa rączka lilji zdaje się listkiem...
Ona. Wyraźny goljat — poznać we wszystkiem.
On. Ach! kiedyż „kocham" usłyszę, kiedy?
Ona. Nie chcę podzielać z nim życia biedy!...
On. Zkąd wnosisz, żem jest nie Krezus pani?
Ona. Bo panna dzisiaj — towar jest tani,
Brak kawalerów wciąż nam dolega.
Młodzian nie kocha dziś panny z brzega,
Lecz jako w gruszkach przebiera długo...
Ten tylko panien dzisiaj jest sługą,
I rad w miłosny uderza skweres,
Kto chce na żonie zrobić interes...
Za nic więc twoja, paniczu, trema,
Idź szukać dalej, bo „głupich" niema.

* * *

Fatalna pogoda.

— Cóżeś taki skwaszony?
— Ach ta pogoda!...
— Zaziębiłeś się?
— Nie.
— A więc?
— Widzisz, takie podłe tej zimy powietrze, że nie wiem, co mam zastawić: futro czy palto?

* * *

Gdyby był.

Gdyby był pod słońcem kraj
Gdzieby nikt nie mówił: „Daj!"
A natomiast wszyscy szczerze
Zapraszali: „Niech pan bierze!"
Gdyby był gdzie taki raj!
To ja pierwszy ucieszony
Wziąłbym sobie ze trzy żony —
I podążył w taki kraj!
Gdzieby można bez monety
Sprawiać nowe tualety —
Gdzieby nikt nie mówił: „daj!"
. . . .
Gdyby był gdzie taki kraj!!
Golec.

* * *

Po koncercie.

— No, i cóż koncert wczorajszy?
— A, wspaniały: mistrze byli, bisy były, kwiaty były.
— Gdyby jeszcze publiczność była...
— Toby można powiedzieć, że się koncert udał zupełnie.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 13-go stycznia 1698 konfederacya wojska w bezkrólewiu po Sobieskim. — 1773 manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — 1793 Prusacy wkraczają do Polski. — 1811 zniesienie granicy pomiędzy Kongresówką a Litwą i Rusią.

Dnia 14-go stycznia 1329 sejm prawodawczy w Chęcinach. — 1576 sejm w Jędrzejowie po ucieczce Henryka Walezyusza. — 1807 utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Dnia 15-go stycznia 1462 zabójcy Tęczyńskiego śmiercią karani. — 1582 pokój z Moskwą na lat 10 w Kiwerowej Horce. — 1619 pokój z Moskwą w Dwilinie. — 1674 sejm konwokacyjny.

Dnia 16-go stycznia 1133 najazd Czechów na Śląsk. — 1649 Jan Kaźmierz wjeżdża do Krakowa na koronacyą. — 1698 August I. przybywa do Krakowa. — 1733 August II. ostatni raz wyjeżdża z Drezna do Polski.

Dnia 17-go stycznia 1509 zawarty pokój w Moskwie. — 1576 stronnicy Maksymiliana zapraszają go na tron.

Dnia 18-go stycznia 1509 zawarty pokój w Moskwie. — 1576 stronnicy Maksymiliana zapraszają go na tron.

Dnia 19-go stycznia 1608 śmierć Bernarda Maciejowskiego, kardynała. — 1789 rozwiązanie rady nieustającej. — 1831 Chłopicki złożony z dyktatury.

Łamigłówka.

ułożył Drohoszeńko.

Ułożyć 19 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, zestawią imiona i nazwiska dwóch sławnych wodzów polskich.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1) Zamek zdobyty przez Władysława Białego, ks. gniewkowskiego.
2) Arcybiskup gnieźnieński.
3) Stopień tytularny.
4) Miejsce zaślubin Władysława Jagiełły z Zofią, ks. ruską. —
5) Rzymianka.
6) Concilium Kościelne.
7) Miasto w Wielkopolsce, znane z Opactwa Cystersów.
8) Przetwór chemiczny.
9) Miasto w Wielkopolsce.
10) Birbant — hulaka.
11) Miasto Litewskie znane z wyprawy Kaźmierza Wielkiego na Litwie.
12) Rzeczownik odznaczający porządek.
13) Nazwisko sławnego astronoma polskiego.
14) Nuncyusz papieski z czasów Bolesława III Krzywoustego.
15) Pienia żałosne.
16) Książe cieszyński.
17) Pierwszy poseł, który swem „Liberum veto" sejm rozrywa.
18) Bohater z powieści Sienkiewiczowskich.
19) Wdzierca — wtręt.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 19-go b. m.

Rozwiązanie zagadki z nr. 51-go:

Kołomyja — miasto, Kołomyjka — taniec.

Dobre rozwiązanie nadesłała i otrzymała nagrodę pani Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

8)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

Przed dwoma miesiącami bez mała, Wolffram, w Koronowie podczas procesyi, ujrzał cudnej piękności dziewicę, którą rozpaliła krew w jego żyłach, napełniła chęcią nie zmożonych pożądań, sama niewiedząc nic o tem piekle, jakie w duszy jego zażegła. Bezgrzeszna — a spłodziła grzech, czysta — a pokalała brudem. Podła to była dusza krzyżacka, która na kwiat liliowy plugawem okiem węża spojrzała; podłe to było serce, które jeno nizką żądzą zapłonąć mogło i tylko o nasyceniu siebie myślało, o uśmierzeniu pożaru krwi — a mniejsza: kmiecicówna li to była, czy dziecko szlacheckie, wolna czy nie wolna, żona bliźniego czy niepokalanej cnoty dziewica — on ją mieć chciał, mieć musiał!... Pod baldachimem przesuwał się ksiądz z Jezusowem ciałem w monstrancyi, na czele procesyi szedł krzyż — a rycerz krzyża, obrońca Maryi, okiem gada na oną panną patrzał, sypiącą kwiaty do stóp celebranta, białą jak kwiat, czystą i wonną jak kwiat, pochylającą głowę na każdy odgłos dzwonków, bijącą się w piers, błagającą Pana nad Pany o win przebaczenie. Rycerz krzyża zapomniał kim był — a skoro tylko, podczas chwili tak podniosłej, myśl grzeszną do duszy swej wpuścił, wnet rozparł się w niej szatan i rzekł:

— Już eś ty mój!...

Ale procesya przeszła, nabożeństwo się skończyło; tłum się rozpłynął i złotowłosa dziewczyna o ustach koralowych i oczach czarnych — znikła jak widmo, mara, sen — jeno w duszy niemieckiego rycerza on szatan pozostał i wciąż dorzucał paliwa do krwi, w pożądań dmuchał żar i szeptał:

— Za cenę duszy — dam ci ją!...

— Bierz duszę — odpowiedział Salzbach — bierz, niech tylko mam ją!... a kat cię wie, czy nie jesteś imaginacyą zmysłów, tworem strachu, słabych rozumów wymysłem. Później zresztą poborykam się z tobą!... Jeżeli nagła a niespodziewana nie weźmie mnie śmierć, zasłużę się jeszcze Panu Bogu mojemu wymordowaniem Litwy pogańskiej, postami i dyscypliną, pielgrzymką do ziemi świętej. Ale teraz daj mi tę pannę białą, bo we krwi mam żar — ogień w piersi.

I wyruszył z bratem Johanem na poszukiwanie przedmiotu pożądań swoich. Nie było ślacheckiego dworu, gdzieby się nie wcisnął; na wszystkich odpustach był, jarmarki wszystkie nawiedził, dwa długie miesiące na onem poszukiwaniu stracił — i wrócił z niczem.

Siedział teraz przed dopalającem się ogniskiem i czynił Panu Jezusowi propozycyę, że żadnego z pogan żywić nie będzie, na pal powbija tych, co chrzcić się nie zechcą i żywcem skóry z nich zdejmie — i groził temuż Panu Jezusowi, że jeżeli woli jego zadość nie uczyni, to w posługi szatanowi pójdzie i zastępy piekielne o jednego dyabła powiększy. Zawżdy to dla nieba przegrana, gdy piekło się wzmoże.

— Masz wóz i przewóz, Panie Jezu! Wżdy lepiej ci mieć więcej aniołów, niż biesów rogatych... Pomyśl i zlituj się nademną, nad sobą razem...

I szeptał dalej, ręce obie jak do pacierza złożywszy:

— Ojcze Przedwieczny! — jedno tylko ono bezeceństwo spełnię, a już ci się oddam cały i wierniejszego już sługi na ziemi nieobieżnej choćbyś w dzień biały ze świeczką szukał — nie znajdziesz.

Nagle pacierz on przerwał grzmot jakiś...

To brat Johan, usnąwszy głęboko, ekwilibrum stracił i z ławy zleciał.

Znać Salzbach przyzwyczajony był do wypadków podobnych, bo ani z miejsca się nie ruszył, ani nie drgnął nawet, zresztą, jako rycerz każdy, przyzwyczajony był do huków i stuków różnych — nie odwracając tedy głowy od ogniska, uśmiechnął się zlekka i rzekł:

— A co to się z panem bratem zrobiło?

Ojciec Johan na ziemi siedział przy ławie wywróconej i rozpatrywał się dookoła.

— Fu!... — dmuchnął przed siebie. — Jakto zawsze marzenie z rzeczywistością się sporzy!...

— Dwa światy przeciwne — rzucił Salzbach.

— Bodaj-by ich dyabli wzięli!... Jeden łudzi, drugi budzi, a boki niewinne cierpią.

— O czem-że śniłaś duszo pobożna? — Wolffram spytał.

— Śniłem, żem był Michałem archaniołem.

I pierwszy rodziców z raju wyganiałaś ...

— Tegobym głupstwa nie zrobił, a gdybym zresztą już za miecz ognisty chwycił, to tylko-bym ojca Adama precz wygnał, a sam przy Ewie został.

Salzbach podniósł się — zbliżył się do siedzącego na ziemi Funtfiga, stanął nad nim i rzekł:

— Jest-żeś ty księdzem?

— Obym tak zdrów był! — uderzył się w pierś brat Johan.

— Wszystkie święcenia masz?

— Spytaj ojca Jeremiasza, który w Jerozolimie znaczną figurą jest.

— W Jerozolimie! którąś może tak widział, jak ucho własne — zaśmiał się Wolffram.

— Mogę ci dać sumienny jej opis, nie mówiąc już nie o cudzie głośnym, który swojego czasu tam zrobiłem, kiedy Saracenowie brzydko się do mnie wzięli. Mam prawo chrzcić, śluby dawać, pieniądze brać, raz do roku, nawet taki lub owaki grzech ciężki odpuścić, która to wiadomość nie byłaby bez waloru dla ciebie.

— Odszedłszy jednak od konfesyonału twojego, nie całkiem byłbym pewny zbawienia — Salzbach na to.

— W ciężkich okazyach i pół zbawienia jest coś warte — sam Bóg ojciec mi to dzisiaj we śnie powiedział. Owożem śnił, żem był Michałem archaniołem i używałem wczasów niebieskich. Codziennie małmazyę spijałem, albo inne wino przednie; u serafinów lub cherubinów stołowałem się; jeżeli na podwiedczorek nie dano kapłona kasztanami nadziewanego, to prosię faszerowane napewno było. Maldrzyki święta agata piekła a miód sycił święty Dyonizy areopagita z towarzyszami swoimi Rustykiem i Eleuteryuszem. Razu pewnego, podczas uczty u świętego Symeona z Edessy, który za żywota swojego na ziemi był nazwany *salem,* to jest „głupi“ — przychodzi do nas Bóg-Ojciec i mówi: „Czyście zauważyli, aniołowie moi, że już od dość dawnego czasu ani jeden przybysz nowy do nieba nie zawitał? Łajdactwa jakieś na ziemi dziać się muszą, a pewne wiadomości mam, że w piekle coraz ludniej, gdy apartamenta niebieskie pustkami stoją“. Tu do mnie się zwrócił i rzekł: „Kropnij-no się, Michałku — i obacz jak tam jest?“ Rozwijam tedy skrzydła i rżnę prosto na ziemię. Jedną, drugą gwiazdę potrąciłem, zawadziłem o jakąś kometę nieochędożną... Wtem huk, stuk, łomot... Ława wywrócona — a ja w podłej austeryi niemieckiej na twardej podłodze leżę. I co ty na to, Fram?...

— Dobrze, że kości masz całe, choć archanielskie skrzydła straciłeś, — odezwał się Salzbach. — Ale podnieś się z ziemi nareszcie i słuchaj co ci powiem.

W czasach onych było dużo takich księży nieksięży, którzy wałęsali się po świecie bożym i ludzi tumanili. Trudno ich było w rygorze utrzymać, a rzetelnej domacać się prawdy. Najczęściej podawali się za pątników do Ziemi świętej, staczali boje zacięte z dyabłami i smokami o głowach trzystu, w glinianych dzbankach przynosili świętą wodę Jordanu, a w szkaplerzach mieli kości apostołów i różne świętości, a że umysł ludzki rad zawsze bajkom i cudownościom wierzyć, dziwy nie dziwy, cuda nie cuda, nadzwyczajne przygody i opowieści, łatwy znajdowały posłuch, i gość taki chętnie widziany był, a z głodu nie przymierał nigdy. Kromia jednak nicponiów onych i łgarzów wierutnych, nie mało w one czasy błogosławionych i świętych było, tych prawdziwych bojowników niebieskich, którzy na barki swoje brali kał świata, męczeństwem swoim potwierdzali prawdy ewangelijne, zjawiali się na rynkach miast i głosili słowo boże, gotowi na śmierć okrutną. I nieraz tłumy całe zakamieniałych grzeszników kajały się przed nimi; zapełniały się klasztory i miejsca odludne, pieczary skaliste i puszcze leśne odzywały się szmerem pacierzy, tworzyły się pustelnie, rzeczy wielkie i cuda wielkie się działy, a czoła sług bożych opromieniała aureola świętości. W Polszcze niewiasty rej wiodły, przeważnie z królewskiego rodu Piastów, a i inne imały się furty niebieskiej, o których po dzień dzisiejszy głośno jest na świecie całym. Dość wspomnieć o Grzymisławie i Iolancie, żonach Leszka Białego i Pobożnego Bolesława, które ubłogosławione zostały, a mniszka klasztoru Zwierzynieckiego pod Krakowem, święta Bronisława, godności Kanonizacyi dostąpiła. Cóż mówić o Jadwidze i Salomei, onych przednich świętych pańskich, abo o Kindze królowej, której dziewicze ciało liliową woń po śmierci wydawało. W on czas i Jacek, dominikanin krakowski, w obliczu zgromadzonego ludu „szeroką Wisłę pod Wyszogrodem suchą nogą przechodził". Ciemni wzrok, umarli odzyskiwali żywot — wznosiły się kościoły i klasztory, a każdy erekcyjny dokument czasów onych, zaczynał się od słów: *„Dla zbawienia duszy grzesznej... Dla odkupienia występków naszych"*. Białe i czarne nici snowały się w onym paśmie żywotów ludzkich, i śmiele rzec można, że barw pośrednich nie było, bo ludzie szli albo w ogień piekielny, albo w jasnościach błękitów się nurzali.

Ojciec Johan do tych ostatnich pretensyi nie miał, a wierzył czy nie wierzył w duchowny stan jego rycerz von Salzbach, na dwoje o tem babka wróżyła, ale przydatny mu teraz był, bo jako ksiądz świecki, pątnik kilkakrotny do Ziemi świętej, której nigdy nie widział, a którą głowy prostaczek zawracał — w bogobojnej Polszcze ufanie miał, a że przytem koncercista był niemały, mógł nieraz się tam wśliznąć, gdzie nie zawżdy-by się udało białemu płaszczowi Krzyżaka. Zakwestyonowany teraz w duchownej godności swojej, podniósł się z ziemi, otrzepał, krzyż pomacał i usiadł naprzeciw Wolfframa, słuchając, co mógłby ten rzec mu jeszcze. Krzyżak wsparł się o stół i tak zaczął:

— Nie długo zabawimy w Jasińcu, dzień jeden — i do Gdańska, do wielkiego mistrza z raportem wyruszym.

— Z raportem? — spytał zdziwiony brat Johan... — Z jakim raportem?...

— Podróży naszej — odparł Salzbach.

— Fram! masz wielkiemu mistrzowi powiedzieć, żeś dziewki szukał?

— Doniosę mu o dokonanym przez królika krakowskiego sojuszu z Litwą; o przygotującej się potajemnie wojnie, niby, ku brandenburczykom skierowanej, lecz ostrzem wymierzonej w nasz zakon; doniosę o Winczu Szamotulskim, który, jeżeli po stronie Łokietkowej stać będzie dużo nam złego sprawić może, lecz któregom już pogłaskał aksamitną rękawiczką Dytrycha.

Brat Johan głowę podniósł.

— Wincz?... — spytał...

— Nasz będzie — odpowiedział Salzbach.

Funtfig pokręcił głową i rzekł:

— Nie spodobała mi się opowieść jego o Holendrach, wilkach i owczarni.

— Niema lęku — Salzbach na to. — Oćmiłem już nieco umysł jego przyjaźnią pana Altenburskiego, ty mi sekundowałeś dobrze, choć nie wiedziałeś w czem rzecz, a do umówienia się czasu nie było.

— *Kopf!...* — rzucił brat Johan, palcem uderzając się w łeb... — Ale ten pan Wincz nie wydaje mi się być z wosku.

— Mam bystry wzrok — odpowiedział Krzyżak. — Zauważyłem pierwszą drzemkę sumienia, później nastąpi głęboki sen — później... pęta nasze!...

— Bóg daj! Bóg daj!... — unosząc nieco ręce do góry ksiądz się ozwał.

— O tem wszystkiem — Wolffram ciągnął — mistrz wielki wiedzieć ma i środek nasenny w ręku moich zostawić. Nie zabawim tam długo... Czas nagli — mnie pali krew... Wyruszymy w podróż powtórną...

— Aaa! — wypadło z ust księdza.

Salzbach podniósł się.

— Śmiertelny popełnię grzech, byleby tylko czart mnie usłużył... Plunę na ten mój biały płaszcz, na ten czarny... krzyż...

Huragan wichru załopotał nagle w okna gospody, czterema węgłami jej zatrząsł, a taki gwizd i łoskot i śmiech i pisk dyabelski z owej nawałnicy się wydobył, że bratu Johanowi włosy wszystkie na głowie się podniosły, język kołkiem stanął, a oczy rybie, okrągłe się zrobiły. Pod dachem dał się słyszeć trzask głuchy, jakby wszystkie krokwie z wiązań swych wyszły; ściany się zatrzęsły, błony skór wydęły się w oknach, a wiatr w wylot komina dmuchnął — z jakimś hurkotem a szamotaniem piekielnym parł się do wnętrza, jakby tam naraz stu biesów wleciało i tłukło się i darło pomiędzy sobą, piekielny zawodząc bój o duszy ludzkiej posiadanie. Wtem buchnął na środek izby snop iskier wraz z językami ognia i kłębami czarnego dymu. Brat Johan pod stół runął, a Salzbach, blady jak kreda, z rozszerzonemi źrenicami, usty zaciśniętemi i ściągniętemi brwiami — pośrodku izby stał, lecz strachu nie było znać w jego postaci, widne jeno były potęga i moc i chęć zmierzenia się z duchem piekielnym. Wichr skowytał, węgły gospody się trzęsły, sypały się iskry płomieniste, dym czarny się kłębił — on głowę uniósł i zawołał:

— Witaj, dyable! witaj, szatanie! witaj, czarny mój sprzymierzeńcze!... No — gdzie-żeś, gdzie ... w wyraźniejszej staw mi się postaci!... Ogień i dym, wicher i błysk — to jeszcze nie ty jesteś, nie ty!...

...Czego się lękasz?...

...Krzyż mam na sobie?...

...Zdzieram krzyż — odrzucam miecz, bo ma rękojeść w kształt krkzyża.

...Trwożą cię szkaplerze na piersi mojej?...

...Patrz precz je ciskam!... widzisz — bezbronny jestem!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Adres listów: L. Zboralski, Pleszew-Pleschen.

L. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od **Mk. 1,40** za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysełam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.

Nowość! Nowość!

Flirt Salonowy 427

gra towarzyska. Cena 1 50, z przesyłką 1,70 M.

Noskiewicz M.

Rozmowa znaczkami listowemi,

książka dla zakochanych a szczególnie narzeczonych. Cena 25 fen. z przesyłką 30 fen.

Żuromski: **Prawo kobiety,**

niezbędny podręcznik dla każdego mężczyzny lub kobiety, mianowicie w kwestyach małżeńskich, spadkowych, majątkowych (wspólność majątkowa). Testament. Powody rozwodu. O majątku dzieci. Kobieta w przedsiębiorstwie kupieckim itd. Cena 1,50, z przesyłką 1,60 M.

Ożarowski:

Samouczek stenografii polskiej

niezbędny podręcznik dla każdego kupca, który chce w 5 lekcyach nauczyć się stenografii. Cena 1,10 M., z przesyłką 1,20 M.

Kuchnia polska, niezbędny podręcznik dla kucharzy i gospodyń wiejskich i miejskich. Cena 2 M., z przesyłką 2,10 M.

Powyższe książki i gry wysela na życzenie odwrotną pocztą przez zaliczkę pocztową lub za poprzedniem nadesł. pieniędzy także i w znaczkach pocztowych

Bogdan Chrzanowski

Księgarnia i skład papieru

Poznań, ul. Wilhelmowska 17.



Mydło liliowe

w kawałkach po 50 fen.

Woda liliowa

Eau de Lys de beauté

w butelkach po 1,50 mk. wytwarzają piękną, delikatną cerę twarzy i rąk, piękny zawsze młodzieńczy wygląd, olśniewająco piękną płeć, usuwają wszelkie nieczystości skóry, jak piegi, węgry, wyrzuty, czerwoność. 252

W Poznaniu do nabycia w drogeryach pp. R. Barcikowskiego, J. Czepczyńskiego, Z. Rittera. W Jeżycach p. K. Buchowskiego, w Jarocinie p. W. Chylewskiego lub wprost w chemiczno-kosmetycznym laboratoryum K. Buchowskiego w Poznaniu.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 71 (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYNSKI.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym.— Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 18

Kąpiele elekryczne świetlane.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński

Papierosy z fabryki

SULIMA

są najlepsze.

Produkcya roczna przeszło 200 milionów.

Jedyna jeneralna agentura

i główny skład

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Pracownia robót kościelnych

WANDY GDECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10.

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to: kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Ważne!!

Kto chce założyć skład kolonialny, cygar i papierosów niech się ze zaufaniem uda do firmy hurtownej

Artur Gustowski 291

Opalenica.

Dom ten może udowodnić, że setki ma odbiorców po Księstwie i że konkuruje z najpierwszemi firmami tej branży. Na życzenie przyjeżdża zastępca firmy.

Dla cierpiących na **żołądek, kiszki i t. p.**

Kakao owsiankowe z solami odżywczemi.

Jest to znakomity napój tak dla dzieci jak dla dorosłych.

Przez lekarzy polecony zwłaszcza dla ozdrowieńców niedokrwistych, cierpiących na żołądek, dla nerwowych, dla karmiących matek itd.

Odżywka zapobiegająca krzywicy (angielskiej chorobie) blednicy i cierpieniom skrofulicznym. Pożywniejsze, zdrowsze a tańsze od kawy lub chińskiej herbaty!

Ceny: Gatunek I „HYGIEIA" funt 1,75 mk., pół funta 90 fen. Gatunek II „SAMSON" funt 1,00 mk. pół funta 55 fen. Próbki (ok. 200 gr.) za nadesłaniem 50 fen. wysyła franko: Firma „HYGIEIA" (Czarnowski & Co.) Berlin N., Weissenburgerstr. 27. 389

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6. Filia **w WRZEŚNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca 267

wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

Portrety

po najtańszej cenie wykonuję podług każdej fotografii pod 666

gwarancyą

zupełnego podobieństwa i artystycznego wykonania

kredą, pastelą i olejne.

Z. Antoniewicz,

POZNAŃ.

Chwaliszewo nr. 58.

Czytajcie i abonujcie „Pracę."

Mydła Zwierzyńskiego

z fabryki mydeł i chemiczno-technicznych wyrobów

w Gnieźnie

twarde, w 1-funtowych paczkach po **30 fen.** oraz w ryglach każdej wielkości,

rzadkie, szare i białe (salmiako-terpentynowe),

toaletowe
- różnozapachowe kawałek po **10 fen.**
- migdałowe) po **10 fen.** jak i w kawałglicerynowe) kach różnej wielkości.
- „Halka“ kawałek po **25 fen.**
- „Boquet de fleurs“ kawał. po **25 fen.**
- „Lanolinowe“ kawałek po **25 fen.** z zagwarantowaną zawartością lanoliny.
- „Palmitinowe“ kawałek po **25 fen.**
- Liliowo-mleczne kawałek po **50 fen.**

medycynalne,
- smołowcowe kawałek po **10** i **25 fen.**
- siarczane kawałek po **10** i **25 fen.**
- karbolowo-smołowcowo-siarczane kawałek po **50 fen.**

467

żółciowe, w kawałkach po **10** i **20 fen.**

do golenia, w kawałkach po **10** i **20 fen.** jak i w ryglach każdej wielkości.

Hygieniczny proszek mydlany Zwierzyńskiego „Pezol“

w 1-funtowych paczkach po **20 fen.**

zdobywają sobie coraz większą liczbę lubowników i stałych konsumentów.

Do nabycia wszędzie!

Patenty

na wynalazki wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe:

PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3.
BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

2 widne sklepy 538 do przechowywania towarów, n. p. owocu i. t. d. [illegible] do wydzierżawienia Ka[illegible] **Rzepecki,** Piekary 7, [illegible]

Koniki na biegunach



od **12,00 mk.** i na kółkach od **1,00 mk.** w pięknem i bardzo trwałem wykonaniu oraz

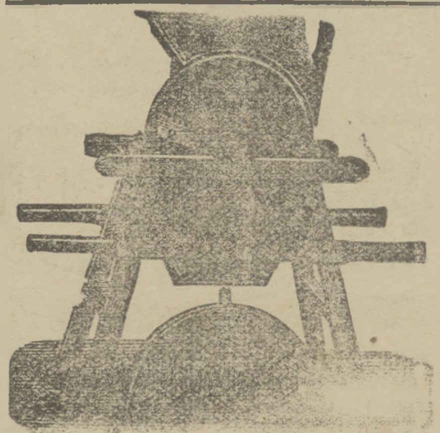
kufry i torby

do podróży, jako też wszelkie towary skórzane i Offenbachskie poleca

N. Wolniewicz, 93

siodlarz-kieszeniarz w Bazarze.

Czytajcie „Pracę“.



SIEKACZE do **kartofli** i buraków o jednym i dwóch bębnach konicznych. 99
SORTOWNIKI do kartofli o płaskich sitach nowej konstrukcyi.
ROZDRABIACZE do kuchów o jednej i 2-ch arach walcy.
ŚRÓTOWNIKI rozmaitych konstrukcyi.

Beczki stalowe cynkowane do wody i gnojówki z pompą lub bez tejże.
Wagi do bydła najnowszej konstrukcyi.
Wagi spichrzowe, poleca po jak najtańszych cenach

A. Bryliński w Poznaniu,

ulica Rycerska Nr. 11a, **Telefon Nr. 69.**

Adres do listów. **A. Bryliński, Poznań-Posen.**
Adres do telegr.: **A. Bryliński Posen.**
Skład machin i narzędzi rolniczych wszelkiego rodzaju.
Zapasowe części do tychże i pracownia do napraw.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą **J. WIŚNIEWSKI,** Księgarnia — ul. Tumska 3.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

Kępno.

Jedyny POLSKO-KATOLICKI

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

Leon Mezdrzanowski.

Kosirsyn.

H. Andruszewski

Hôtel Victoria

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Plessew.

Skład kół i maszyn do szycia, również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Gałojski,**

Pobiedziska.

M. Kaczerewicz

w rynku poleca **obuwie** od najpospoleńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Strzałkowo.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

W. Bogacki

Antoni Matczyński

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

Śmigiel.

J. Karpiński.

Pracownia gard. mezkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

A. Wojciechowski

Rynek nr. 24.

Księgarnia, skład tow. galanteryjnych, piśmiennych, obrazów, **zegarów**, książek do naboż., obrączek ślubn., wózików, dewocyonalji, zabawek itd. Oprawa obrazów, książek, reparacye zegarów po cenach przystępnych.

Śrem.

TADEUSZ SZRAJBER.

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

A. Zwierzchowski,

pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Sala wystawowa. — 12 okien wystawnych.

Cennik na żądanie bezpłatnie.

„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Żużle Thomasa, „Sternmarke,"
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39
folwarków i gospodarstw
oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo-miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Osiedliłem się
jako

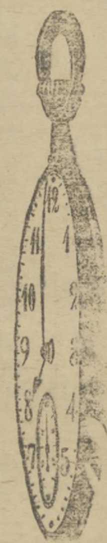
adwokat w Lesznie.

Biuro moje 2

znajduje się **przy narożniku rynku i ulicy Bismarka.**

Adwokat Maciaszek.





A. Galczewski,

Gniezno (Gnesen).

Największy Polski skład zegarmistrzowsko-złotniczy

poleca w bardzo wielkim wyborze bajecznie tanio *zegarki kieszonkowe* już od 4,50 mk. począwszy, *zegary ścienne* i *budziki* od 2 mk. począwszy, *regulatory* od 10 mk., *pierścionki* złote, prawnie stempl. od 1,25 mk., broszki, kolczyki, bransoletki, obrączki, okulary, binokle przedmioty srebrne i alfenidowe. (125

Na żądanie wysyła się bogato ilustr. cenniki gratis i franko.

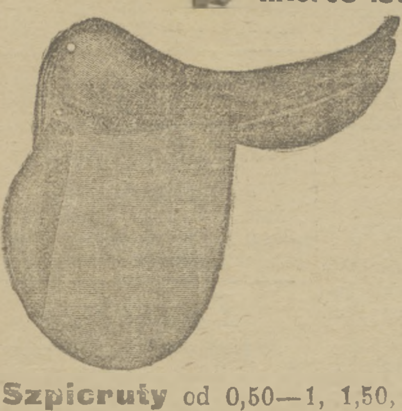
Korzystne źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Zasadą interesu jest rzetelność.

Leon Pluciński, mistrz siodlarski

Poznań, św. Marcin 52/53.

Interes istniejący od roku 1875. 311



Wydział do konnej jazdy:

Siodło męzkie gładkie, całkiem z świńskiej skóry, wiedeńskie od 27—32 mk. Siodło to samo z przodkami (Kniepauschen) od 35 do 45 mk. Siodła całkiem watowane, angielskie, od 45—100 mk. Siodła wysadzane jelonkiem od 65—110 mk., ze skórzanemi łękami. **Siodła damskie** od 75—250 mk. podług jakości. **Trandzle i mundsztuki** od 7—10—13—15—18—21—24 do 30 mk. **Popręgi i czapraki** do siodeł do 3, 4, 6, 7,50, 9, 12—24 mk. **Szpicruty** od 0,50—1, 1,50, 2, 3, 4—30 mk.

Zlaceni[illegible]nia się **odwrotnie.**

Nowo otworzone! Nowo otworzone!

J. W. Maciejewski

ulica Nowa 11, narożnik Starego Rynku

poleca w wielkim wyborze

kapelusze, bieliznę, krawatki, parasole, laski, rękawiczki kamizelki

i wszelkie inne artykuły męzkie. 543

Niskie ceny! Niskie ceny!

Usługa rzetelna! Usługa rzetelna!

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1907 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

..............................., den .... 1907.

Kaiserl. Post ....

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1907 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben bescheinigt

..............................., den .... 1907.

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1907 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

..............................., den .... 1907.

Kaiserl. Post ....

Prosimy odciąć.
i zanieść na pocztę.